

Norma i degeneracya



SCENY NIE DLA SCENY

OBRAZEK Z NATURY

PRZEZ

MARCINA TUŁACZA



NORMA I DEGENERACJA

FORMA I TREŚĆ PRACY

Norma i degeneracja

SCENY NIE DLA SCENY


△ △ OBRAZEK Z NATURY △ △

PRZEZ MARCINA TUŁACZA



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00 330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WILNO  1906



DRUK JÓZEFA ZAWADZKIEGO W WILNIE.

OSOBY:

KONRAD WALICKI, urzędnik bankowy.

ZOFIA, żona jego.

HELENA, przyjaciółka żony.

ALEKSY, kolega Walickiego.

MIKOŁAJ, kolega Walickiego.

FELIKS SCHUMAN, właściciel apteki.

LOPSKI, urzędnik akcyzy.

RUSZCZYC, doktor.

DASZKIEWICZ, sędzia śledczy.

AGATA, służąca.

SŁUŻĄCY HOTELOWY.

Rzecz dzieje się w III rozdziale w gubernialnem mieście; we
wszystkich innych w powiatowem.

PROBY

WŁADYSLAW WIERZBIŃSKI

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

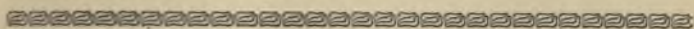
WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA



I

Pokój nieduży, umeblowany marnie, — mieszkanie urzędnika. ZOFIA, ALEKSY i FELIKS siedzą przy stole. ZOFIA pali papierosa. ALEKSY nabija, — to mu się nie bardzo udaje. FELIKS puszcza kłęby dymu i wpatruje się weń.

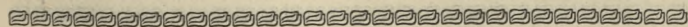
FELIKS. Gdybyście państwo wiedzieli, co o was mówi Gazeta Lubawska... To się oto pan Walicki ucieszy, jak przyjedzie...

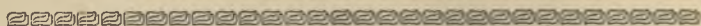
ZOFIA. Czy też pan nie jesteś reporterem owej gazety? (Śmieje się, poczem znowu twarz jego powleka się zwykłym wyrazem smutku.)

FELIKS. Po co reporterem? — można czytać gazety, nie będąc nim.

ALEKSY. Tak, Lubawskie kumoszki codzień przeczytują ją skwapliwie.

FELIKS. Dodaj pan: „a tacy, jak ja, oliwy do ognia dolewają“.





ALEKSY. To jest tacy, jak pan, panie Schuman?

FELIKS. Nie, mówię wyraźnie o panu.

ALEKSY. Nie widzę, żeby to było wyraźnie. Mówisz pan: tacy, jak ja... (Patrzy na ZOFIĘ; oczy mu pałają; ZOFIA nie zdradza siebie niczem.)

FELIKS. Jam nie winien, że pan nie rozumiesz. Zdaje się, powiedziałem zrozumiale: Dodaj pan „tacy, jak ja“.

ALEKSY. Znaczy to, że pan mówisz o sobie.

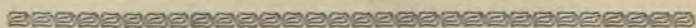
FELIKS. At, kiedy pan się czepiasz słów. Mówiąc „jak ja“, myślałem, żeś to pan o sobie powiedział.

ALEKSY. Co mi do tego, co pan myślisz. Pan mów tak, żeby nikt nie potrzebował łamać głowy nad tem, co tam pan myśli.

FELIKS. Dziękuję za przyjacielską radę.

ALEKSY. Niema za co, — to nasz obowiązek. (Śmieje się.) No, kto tam i do czego oliwy dolewa?—może do lampy nocnej?...

FELIKS. Pan sobie drwisz, a właściwie niema z czego, bo pan stawiasz w głupim położeniu uczciwą kobietę.



=====

ALEKSY (z irytacją, hamowaną jednak śmiechem). Bądź co bądź, tu nie miejsce prawić mi morały.

FELIKS. No, dlaczego nie miejsce? Sądzę, że i pani Zofia ciekawa dowiedzieć się, co o niej mówią na mieście...

ZOFIA. Pani Zofia codzień odbiera świeże numery gazety przez ręce reporterów, zręczniejszych niż pan.

FELIKS. Nie miła księdzu ofiara, pójdź ciele do domu. Nic już więcej nie powiem.

ALEKSY. I dobrze pan zrobisz, bo doprawdy każdy może sobie kupić gazetę, jeżeli go ciekawią nowinki telegraficzne, pochodzące z ust panów, co to oliwę do lampek rozlewają.

FELIKS. No, jeżeli kto rozlewać oliwę do lampek lubi, to chyba pan... Dla zdobycia miłości pani Zofii pan chyba nie tylko lampki czyściłbyś i zapalał, ale i jeszcze coś takiego...

ALEKSY. Na przykład papierosa.

FELIKS. Nie o papierosach mowa, ale...

ALEKSY. No, to cóż? chyba w piecu paliłbym, a pan byś się grzał.

FELIKS. Kiedy ja wcale nie o paleniu mówię.

=====

=====

ALEKSY. A o czyszczeniu, na przykład: butów?

FELIKS. Et, czy to z wami dogadasz się.

ALEKSY. No, to pan gadaj z sobą, jeżeli z nami nie możesz.

FELIKS. Pozostawiam to panu,—ja jeszcze nie sfiksowałem.

(ALEKSY i ZOFIA śmieją się, — chwilowe milczenie.)

ALEKSY (przecierając lewe oko). Coś mię oko świerzbi. Mówią, kiedy lewe oko świerzbi, to znaczy, że wkrótce trzeba będzie płakać.

ZOFIA. A może całować się... (Śmieje się.)

FELIKS (z ironią). Może ja państwu przeszkadzam?..

ZOFIA (z irytacją, hamowaną śmiechem). Jeżeli pan uważasz, że jesteś nam przeszkodą, to któż pana zmusza zostawać z nami?

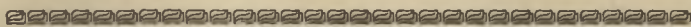
FELIKS. Nikt, nie! to się jeszcze zdąży...

ALEKSY. Co się zdąży? — przeszkadzać, czy wynosić się za drzwi?..

FELIKS. Ani to, ani drugie; — zdąży się powiedzieć, że pan jesteś zanadto mądry...

ALEKSY. To ja dawno wiem, bez pana. A pan po-

=====



wiedz, dokąd to biegłeś dziś, — widziałem was na Zielonej ulicy.

ZOFIA. Aha, ja sama miałam się pana zapytać, — tak się pan śpieszył, że nawet nie zwróciłeś na nas uwagi. (Wchodzi służąca z samowarem, potem przynosi naczynia.)

ZOFIA (do służącej). Agato, przynieś konfitury, wiesz, te w słoiku białym, porzeczkowe.

AGATA. Dobrze, pani, zaraz przyniosę.

FELIKS (do ZOFII). Nie może być, bo nigdy nie mam zwyczaju nie witać się ze znajomymi.

ALEKSY. Ba, a jeżeli pan ich nie widzisz? — zdaje się, pan masz krótki wzrok?

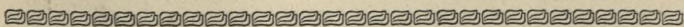
FELIKS. Za to węch mam znakomity; wiecie państwo, zawsze węchem znajomych poczuję, jeżeli są blisko.

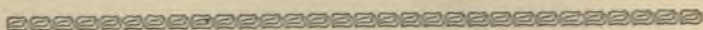
ZOFIA. Żartujesz pan! co też pan mówisz?

FELIKS. Wcale nie; na seryo mam taki dobry węch, — rozwinąłem go w fabryce kosmetyków.

ZOFIA. Kiedy ja wcale kosmetyków nie używam.

FELIKS. To nic, ja i tak poczuję.





ALEKSY. A czy nie trafiło się czasem panu zwierzyć zająca?

FELIKS. Zająca nie, za to lisa udawało się nieraz wytropić.

ALEKSY. Któż to jest z nas lisem: ja, czy pani Zofia? (Wchodzi AGATA z konfiturami.)

FELIKS. Alboż to ja o panu mówię?

ZOFIA. No, dosyć dowcipów, panowie; pójdziemy pić herbatę.

FELIKS. Dziękuję pani, ja nie mam czasu zostawać dłużej.

ZOFIA. Et, niby to tak panu pilno.

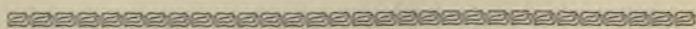
FELIKS. Doprawdy, pani, trzeba mi już iść.

ZOFIA. No, jak pan sobie życzy, — zmuszać nie mogę.

ALEKSY (drwiąco). Kłaniaj się pan odemnie tam, dokąd mu tak pilno.

FELIKS. Kiedy pan wcale ich nie znasz. Do widzenia się z państwem. (Żegna się i wychodzi.)

ALEKSY. To mię pan zapoznaj. (Felix nie odpowiada nic.)



=====

ZOFIA do ALEKSEGO. No, chodź pan pić herbatę.

(Przechodzą do stołu u ściany. ALEKSY siada z końca, ZOFIA z boku przy samowarze.)

ALEKSY. Natrętne Niemczysko! Zawsze musi wleźć tam, gdzie go nie proszą.

ZOFIA. Ale też i pan dobry. Jak panu nie wstyd być takim niegrzecznym; — siedziałam jak na szpilkach z powodu pańskich konceptów.

ALEKSY (zawstydzony, stara się nie okazać tego). No, i cóż takiego, — jeżeli on sobie pozwala wtrącać się w cudze sprawy, dlaczegożby nie uciąć takiemu nosa.

ZOFIA. Et, jak sobie pan chcesz, ale to nawet nie przyzwolicie.

ALEKSY (wyzywająco). A jemu przyzwolicie tak kpić z pani? Dziwna, że pani go broni.

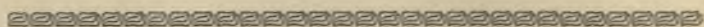
ZOFIA. Wcale go nie bronię, bo on tej obrony nie potrzebuje. Ale trudno, żebym...

ALEKSY (z ironią). Tak, trudno, szczególnie przy jego powierzchowności, cudownym nosie...

ZOFIA (śmiejąc się). Sfiksowałeś pan chyba! — co to za głupie gawędy?

ALEKSY (zawstydzony). Proszę darować, pani Zofio, ale doprawdy tak mię zazdrość dręczy...

=====



ZOFIA. Jakiż pan paradny! o kogo to? o Schumana?
Alboś pan mój mąż?

ALEKSY. Ach, nie wspominaj pani o mężu. Co to
za miłość taka do niego,—on wcale jej nie wart.
To taki egoista, człowiek wyzuty ze wszelkich
zasad moralnych.

ZOFIA. Wszyscy wy tacy... wszyscyście podobni je-
den do drugiego.

ALEKSY. Może być, że podobni, ale mi się zdaje, że,
gdybym był na miejscu męża pani, nie potrze-
bowałbym szukać miłości poza domem.

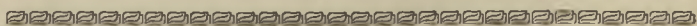
ZOFIA. Alboż mąż mój jej szuka?

ALEKSY. Dużo o tem mówić. Wierzał mi pani, że
wiem o sprawowaniu się jego więcej, niżli pani
pomyśleć kiedy mogła.

ZOFIA (zdziwiona). Mów pan, słucham, — ciekawam,
co mi pan może powiedzieć, czegobym nie wie-
działa dotychczas.

ALEKSY. Bardzo wiele. Ale o tem potem. Teraz mam
coś innego do powiedzenia. Ileż to razy chcia-
łem wypowiedać się przed panią i brakło mi
odwagi. (Czerwieni się.)

ZOFIA. No, no, to coś musi być niezwykłego.
(Śmieje się.)



=====

ALEKSY. Proszę nie drwić ze mnie, błagam panią.
Czyżby pani dotychczas nie podejrzewała?

ZOFIA. Podejrzewałam, że pan lubisz zabawiać się
donżuaneryą.

ALEKSY (z boleścią w głosie). Znowu pani drwi. Czemże
ja panią przekonam?..

ZOFIA. O czym ma pan mię przekonywać?

ALEKSY. Pani musi chyba rozumieć, — nie może
być inaczej..

ZOFIA. Doprawdy, nic nie rozumiem...

ALEKSY. Nie udawaj pani, na miłość Boga. Wie pani
dobrze, iż nie bezcelowo tak często chodzę do
pani...

ZOFIA. Chodzisz pan po pierwsze dlatego, że mu
brak lepszego zajęcia; po wtóre—lubisz pan podys-
putować z mężem...

ALEKSY. Et, nie jest wcale pani taką naiwną. Nie
może pani nie rozumieć tego, że mąż jej jest mi
tyle potrzebny, co ten pokój, w którym się pani
znajduje. Czy po to miałbym do niego przycho-
dzić, po to tylko, żeby się dowiedzieć, że ten stół
to wcale nie stół, lecz krzesło? Rozumie pani do-
brze, że ja bez niej żyć nie mogę. Cały rok
męcę się strasznie. Mocowałem się z sobą, ile

=====

mogłem; teraz brak mi sił ostatecznie. Zresztą, po co miałbym się męczyć i nie wypowiadać tego, co czuję, kiedy jestem przekonany, że pani nie dziś, to jutro zmuszoną będzie męża porzucić!...

ZOFIA. Co też pan plecie!.. Pij pan lepiej herbatę, bo wystygnie.

ALEKSY. Wcale nie plotę, jak mię pani widzi. Proszę wierzyć, że, gdyby pani zechciała mię kochać, na wszelką ofiarę byłbym zdolny... wychowywałbym dzieci jej, i ręczę, że stokroć lepszym byłbym ojcem dla nich, niżli rzeczywisty.

ZOFIA. Aha, więc pan proponujesz mi, żebym rzuciła męża i związała się z panem? Chyba pan żartujesz?

ALEKSY. Byłbym waryatem, gdybym miał z takich rzeczy żartować. Nie, pani; ja wcale nie myślę żartować... Rzeczywiście, zechciej pani, a będę jej sługą na wieki, będę się opiekował panią, dam jaknajlepsze wychowanie dzieciom, będę ją ubóstwiał i stworzę szczęście domowe, ciche, spokojne, bez żadnych wybryków histeryi, którą mąż panią tak męczy...

ZOFIA. Nie rozumiem, skąd pan mógł przypuścić, że się jego projekta udadzą, — zdaje się, wcale nie dałam powodu...

=====

ALEKSY. Kiedy ja wcale nie byłem pewny, tylko zdawało mi się, że stałość uczucia mego dla pani pomoże mi skłonić ją do tego kroku.

ZOFIA. Coś mi się nie chce wierzyć w to wszystko, co pan teraz głosi. Ale, gdybym nawet była pewna, że pan mówisz szczerą prawdę, i wówczas nie mogłabym zgodzić się na pańską propozy-
cję, bo go nie kocham.

ALEKSY. A męża niby to pani kocha, jednakże to nie przeszkadza obdarzać go miłością, cząsteczka której, mała nawet, potrafiłaby zrobić mię szczęśliwym...

ZOFIA. Wszyscy wy tak mówicie, póki się wam nie uda zdobyć kobiety. Jedynie mąż mój był pod tym względem więcej szczerzy, co go podnosi w moich oczach.

ALEKSY. Ach, proszę mi nie mówić o tem! miej pani litość nade mną. Nie rozumiem, dlaczego was rozrzewniają lamenty historyków, a kiedy człowiek normalny cierpi (a cierpienia jego stokroć są silniejsze), wy drwicie sobie z tego. (Zbiera się mu na płacz.)

ZOFIA. Kiedy ja wcale nie widzę, żebyś pan cierpiał.

ALEKSY. Czemże mam przekonać panią?..chyba skończy się tem, że będę płakał. Ale ten płacz będzie

=====

=====

wcale innego rodzaju, niżli u takich ludzi, jak pan Konrad... Nigdy w życiu tego ze mną nie było. (Łzy mu spływają z oczu.)

ZOFIA. Panie Aleksy, co panu jest? czyś pan oszalał?

ALEKSY. Nie oszalałem jeszcze, ale chyba oszaleję wkrótce, jeżeli się pani nie zlituje nade mną...
(Nachyla głowę, obejmuje ją rękoma i płacze.)

ZOFIA. Panie Aleksy, błagam pana, niech się pan uspokoi!.. Może wejść Agata, — będzie bardzo głupio...

ALEKSY (wśród łkań). Co mi tam Agata, kiedy serce się kraje...

ZOFIA. Zrozumiej pan, że nie o niego tylko chodzi...
(Rozlega się dzwonek; w korytarzu otwierają się drzwi. Słychać rozmowę: „Pani w domu?“ — „W domu, proszę pani“.— ALEKSY wyciera oczy chustką, poprawia ubranie pędkiem, twarz ma jednak zapłakaną, nos mokry od łez.)

ALEKSY (do siebie). A niech ją dyabli!..

(Wchodzi pani HELENA.)

HELENA. Dobry wieczór państwu.

ZOFIA i ALEKSY. Dobry wieczór. (Witają się).

HELENA (siadając pędkiem). Pani Zofio, tak się nie godzi. Czekam na panią tyle czasu, a pani nie raczy zajrzeć do mnie.

=====

ZOFIA. Kiedy doprawdy nie miałam czasu.

HELENA. Pani nigdy nie ma czasu, kiedy trzeba
zajść do mnie...

ZOFIA. Pozwoli pani szklaneczkę herbaty?

HELENA. Dziękuję pani, tylko co piłam w domu
(Do ALEKSEGO.) Co panu jest? pan jakiś zakata-
rzony?..

ALEKSY (czerwieniąc się). Nie, to tak... trochę zgrzałem
się...

HELENA. Zdaje się, w mieszkaniu nie bardzo ciepło?

ALEKSY (przybierając minę niedbałą). W mieszkaniu,
gdzie jest kobieta, nigdy nie może być zimno.

HELENA. Co też pan plecie!.. (Do ZOFII.) Pani Zofio,
ubieraj się pani, pójdziemy trochę przejść się, —
pewno pani z domu nie wychodzisz zupełnie.

ZOFIA. Dobrze... chwileczkę tylko...
(Wychodzi do przyległego pokoju; po chwili wraca. HE-
LENA tymczasem nabija i pali papierosa.)

HELENA (do ZOFII). Mam z panią dużo do pomó-
wienia.

ALEKSY. To znaczy, że mam się wynosić.

HELENA. Bynajmniej, pan nam nie przeszkadza, —

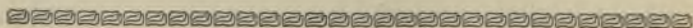
=====



nie takiego nie mówimy, czegoby drudzy słu-
chać nie mogli.

ZOFIA (gotowa do wyjścia). No, jeżeli państwo życzą,
możemy iść.

(Wychodzą. Słychać za drzwiami wołanie: „Agato, ja wy-
chodzę, — zamknij drzwi i dopilnuj małego.“ — Potem
wszystko zamilka.)





II

(Numer w marnym hotelu w mieście gubernialnem. — MIKOŁAJ leży na kanapie, z głową opartą o poręcz. KONRAD chodzi dużymi krokami po pokoju, pociera czoło, łapie się za włosy, — twarz ma błądą, wycieńczoną, pod oczami sine kręgi od bezsennych nocy. Łóżko i rzeczy. Konrada we wzorowym porządku; wokoło kanapy, gdzie leży Mikołaj, bezład. brudna bielizna na podłodze etc.)

MIKOŁAJ. No-no, no-no! coś mu jest... musiało go coś ukąsić... Biega po pokoju, jak podsmalony, spać mi tylko przeszkadza...

KONRAD (odpowiada nie odrazu, kładąc się na łóżko na wznaki rękoma obejmując głowę). Trzeba być mną, aby zrozumieć, co we mnie... powiedział Goethe.

MIKOŁAJ. Pluń pan na Goethego i śpij.

KONRAD. Szczęśliwy z pana człowiek doprawdy, — jesz, śpisz i o niczem nie myślisz.

MIKOŁAJ. Miałebym nie jeść, nie spać i fiksować dla towarzystwa?



=====

KONRAD. Nie kpij pan. Czyż pana nigdy nie nie porusza?

MIKOŁAJ. Owszem, bardzo nawet, — pchła czasem ugryzie, spudłuję do zająca na polowaniu, pies ucieknie z domu...

KONRAD (z irytacją). Et, głupstwa pan pleciesz...

MIKOŁAJ. Cha, cha, cha, cha... no-no, panie Konradzie, no-no...

KONRAD. Cha, cha, cha...—pokaż mu palec, i śmiać się będzie.

MIKOŁAJ. Cha, cha, cha, cha, che, che, chi, chi — no-no, no-no, panie Konradzie dobrodzieju, no-no, to coś niezwykłego. Komiczny pan jesteś. Cóż to? mam płakać dla pańskiej przyjemności? dlatego, że płakać się chce panu? Wiesz pan co, pošlemy po wódeczkę, wypijemy po kieliszku, i smutek pański wnet się ulotni... Zgoda, panie Konradzie? no, co? zgoda?...

KONRAD. Et, dałbyś pan spokój...

MIKOŁAJ. No, no, nie gniewaj się pan, bo niema czego. A bądź co bądź kieliszeczek wódki nie zaszkodzi, bo „na frasunek dobry trunek“ — powiada przysłowie.

KONRAD. Głupie jest to wasze przysłowie.

=====

=====

MIKOŁAJ. Nie głupie, wierzaj mi pan, bardzo nawet nie głupie. Ja często w troskach życiowych używam tego środka, i zawsze skutkuje znakomicie.

KONRAD. Powiedziałeś przed chwilą, że martwisz się wtedy tylko, gdy pies z domu ucieknie.

MIKOŁAJ. No, a co? czy to nie wielkie zmartwienie? czyż nie wart taki wypadek butelczyny?

KONRAD. Nie przeczę, ale...

MIKOŁAJ. Co tam „ale!“ Daj złotówkę, ja druga, pošlemy służącego. (Wstaje, bierze jedną z próżnych butelek, przyciska guzik dzwonka elektrycznego.)

(We drzwiach zjawia się służący.)

SŁUŻĄCY. Jestem do usług.

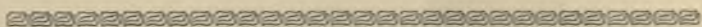
MIKOŁAJ (do KONRADA). Panie Konradzie, dawaj pan złotówkę.

(Konrad wybiera z portmonetki złotówkę i rzuca na stół.)

MIKOŁAJ (zabiera złotówkę, dodaje coś od siebie i mówi, dając pieniądze lokajowi). Zайдiesz do sklepu wódczanego, kupisz pół butelki wódki, następnie w wędliniarni weźmiesz pół funta kielbasy taniej, a za resztę bułeczkę.

SŁUŻĄCY. Słucham pana. (Wychodzi.)

=====



MIKOŁAJ (zacierając ręce z zadowolenia). No, panie Konradzie dobrodzieju, złoty mój, drogi, najzłotszy! Czuję przedsmak rajy!.. wypić tak kieliszczek, zakąsić... (Młaska językiem, trzaska palcami.)

KONRAD. Szczęśliwy pan jesteś z takim usposobieniem.

MIKOŁAJ. A któż panu broni stać się takim, jak ja?

KONRAD. Nerwy, panie Mikołaju, których pan nie czujesz.

MIKOŁAJ. Wypluń pan nerwy, weź siebie za boki...

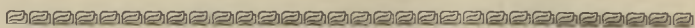
KONRAD. Ba, łatwo to powiedzieć...

MIKOŁAJ. I wykonać... Zresztą, żart na stronę; to musi być coś bardzo głupiego; nie doświadczałem nigdy podobnych przyjemności, ale mi opowiadali inni. Ki dyabeł każe wam tak się niepokoić? Żona zdrowa, dzieci hodują się jaknajlepiej...

KONRAD. Nie kpij pan, — wiesz, że mię te ostatnie nie nie obchodzą, — och, cobym dał za to, gdybym mógł się ich pozbyć.

MIKOŁAJ. Pozbyć się, pozbyć, — to je pan utop.

KONRAD. Myślisz pan, że nie potrafiłbym tego uczynić?.. Ale coby się z żoną stało? ona nie przeżyłaby tego.



MIKOŁAJ. A co to pana może obchodzić? — wszakżeś nadczyłowiek.

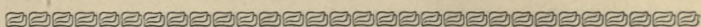
KONRAD. Ba, widocznie obchodzi cokolwiek. Zresztą sprawiedliwość ludzka, owa sprawiedliwość sytych, dążących do zwiększenia proletaryatu, by było z kogo skóry zdzierać... sprawiedliwość owa zakulałaby mię w kajdany za to, że, sam będąc chorym, niedołącznym, uważam za lepsze zabijać dzieci, pochodzące od chorych rodziców. w których możliwości nie jest zabezpieczenie bytu owym przyszłym niedołączom.

MIKOŁAJ. Ta, ta, ta! pojechał na swym koniku! A któż wam każe owe dzieci płodzić?

KONRAD. Kto każe płodzić? Jakbyś pan nie wiedział, że to jest prawo natury. Cóż to? czyż mam się stać kastratem, albo co? Wszak nie mogę siebie pozbawiać przez całe życie miłości kobiecej li tylko dlatego, że nie jestem w stanie wychowywać dzieci.

MIKOŁAJ. Czyż to nie można kochać kobiety platoniczną miłością. (Wyszczorza się.)

KONRAD (z irytacją). Et, wiesz pan dobrze, o jakiej miłości ja mówię. Wiesz dobrze, że owa zawołana platoniczna miłość jest mrzonką ludzi naiwnych. Naturalna miłość nigdy nie może być platoniczną. Zresztą nie przeczę, że są natury



silne, zdolne powściągać się dla pewnych obowiązków albo dla własnej wygody; niestety, obowiązki owe dla mnie nie egzystują, dla własnej zaś wygody również jestem za słaby, żeby się pohamować od zmysłowych przyjemności...

MIKOŁAJ. No, to obwieś się pan.

KONRAD. Śmieszna rada. Gdyby to było tak łatwe, bez pańskiej rady dawnobym to zrobił. Rzeczywiście, co pozostaje człowiekowi, który żyć bez miłości nie może, wychowywać dzieci nie jest w stanie, a znaleźć degeneratkę, któraby trula dzieci albo oddawała na wychowanie do przytułków, chyba jeszcze trudniej.

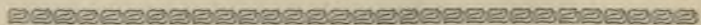
MIKOŁAJ. Przecież są nareszcie środki zaradcze, są domy rozpusty...

KONRAD. Et, oponujesz mi pan tylko dlatego, żeby coś powiedzieć. Wiesz pan dobrze, że nie wynaleziono jeszcze środków prawdziwie skutecznych... Miłość zaś kobiety publicznej pozostawiam dla pana.

MIKOŁAJ. Mnie to wystarcza w zupełności...

KONRAD. Kłamiesz pan! nie prawda!

(Wchodzi służący, niosąc wódkę w butelce, kiełbasę i bułkę w papierze.)



=====

MIKOŁAJ. O! to, to, to!.. (Chwyta butelkę, łamie pieczęć, kilkakrotnem uderzeniem w dno wybija korek, nalewa kieliszki, rozwija papier z kiełbasą, kraje scyzorykiem, mlaskając językiem i powtarzając:) delicye, mości panie Konradzie dobrodzieju, delicye!..

(KONRAD chodzi pochmurny.)

MIKOŁAJ (dolewając do pełna kieliszki). No, panie Konradzie, złoty mój, najzłotszy! Pluń na wszelkie teorye ludzkie i nadludzkie!.. bądź zdrów!

(a KONRAD zbliża się do stołu, bierze kieliszek do rąk; MIKOŁAJ pije haustem i zakąsa, powtarzając: „Delicye“.
KONRAD zwolna marszczy się.)

KONRAD (po chwili milczenia). Nie uwierzę nigdy, mój szanowny panie Mikołaju, abyś był takim, za jakiego chcesz uchodzić. To niepodobna...

MIKOŁAJ. Czego? co niepodobna? (Nalewa kieliszki.)

KONRAD. Niepodobna, żebyś był takim, jakiego udajesz: zimnym i niewzruszonym. Twierdzić, że wystarcza mu miłość prostytutki, może tylko człowiek bardzo czezy i suchy.

MIKOŁAJ. Cha, cha, cha! wszakżeś pan sam, człowiek mokry, nieraz mówił, że niema różnicy między kobietą publiczną a mężatką... (Do rąk waszych!.. Pija.)

KONRAD. Tak, rzeczywiście mówiłem, że obie się sprzedają, ale zaznaczałem przecież, że bądź co bądź różnica wielka mieć stosunek z kobietą

=====

KONRAD. Kiedy ja uważam, że pan sobie żarty robisz ze mnie.

MIKOŁAJ. Cha, cha, cha, cha! no-no, panie Konradzie, dobrodzieju, no-no! komiczny pan jesteś,— toż przecież ja panu przyjemność robię, słuchając jego nadludzkich teoryj.

KONRAD. Idź pan do licha ze swą nadludzkością... Jaki dyabeł wymyślił, że ja siebie uważam za nadczołwieka? Myśleć inaczej, niż ogół, to jeszcze nie znaczy uważać siebie za coś wyższego...

MIKOŁAJ. No, do rąk waszych. (Wypija do KONRADA.)
No, mój panie, tak się nie godzi. Pij pan!

KONRAD. Nie mogę, już dosyć...

MIKOŁAJ. No, skoro tak, to i lepiej, — dla mnie więcej zostanie. (Napelnia kieliszek i wypija.) Delicye, mości dobrodzieju! ogniem w piersiach pała... Et, panie Konradzie, szkoda mi pana, doprawdy; pan taki nadczołwiek...

KONRAD. Dajcie mi raz spokój z tym nadczołwiekiem.

MIKOŁAJ. No-no, nie irytuj się pan dobrodziej napróżno; niech już będzie podczołwiek, kiedy tak chcesz... Otóż pan, będąc podczołwiekiem, nie umiesz sobie urządzić życia nawet tak, jak urządzają idealisci. Taki Aleksy trąbi wszędzie: „jak

~~~~~

najwięcej dobra, jaknajwięcej światła“, a jednak to mu bynajmniej nie przeszkadza rozpustować, gdzie tylko się da, uwodzić dziewczęta przez faktorów, bałamucić mężatki, posyłać pieniądze studentkom w nadziei zwrotu takowych w formie miłości, jednym słowem sieje wszędzie dobro i prawdę po swojemu i wesoło czas spędza. Sądysz teraz, że w pana nieobecności on się nie umizga do żony pańskiej, — ręczę za to. (Wypija.)

KONRAD. Tak, to prawda; żona mi nawet pisała o tem... No, cóż, życzę mu powodzenia. Według teorii Darwina ten samiec ma prawo na miłość samki, który potrafi ją zdobyć doborem płciowym.

MIKOŁAJ. To inna kwestya. Lecz bądź co bądź przyznaj się, że to pana trochę niepokoi.

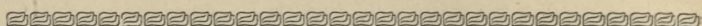
KONRAD. Niepokoi?... może trochę i niepokoi; ale jeżeliby coś zaszło takiego między niemi, bądź pan pewny, że uważałbym to za całkiem naturalne zjawisko i przyjąłbym ten cios z rezygnacją... Przecież my, mężczyźni, patrzymy na żonę, jak naprzykład pies na mięso,—sam zjeść nie może i drugiemu nie da. Alboż to dlatego, że ja utrzymuję kobietę, że ja ją poję, karmię, odziewam, ona musi całkowicie do mnie należeć, i żadnemu mężczyźnie nie wolno jej pożądać? bo pan i władca powiada psu, co się czepia obcych: Trezorze, czy po to cię karmię i pielęgnuję?...

MIKOŁAJ. No, no, nie zwracaj pan gitary. Choć ja się znam na tych rzeczach, jak świnia na pieprzu, ale mi się coś zdaje, że w praktyce zaśpiewałbyś inaczej... No, ale wracając do naszej kwestyi, jak się panu zdaje: kto umie lepiej urządzić sobie życie: pan, czy Aleksy?

KONRAD. Naturalnie Aleksy...

MIKOŁAJ. Otóż to. A pan krzyczysz wszędzie: „Jedz, pij, wesel się, bo życie to krótkie celu żadnego nie ma, bo jesteśmy automatami, poruszonymi przez siły przyrody, którym wszystko jedno, czy człowiek żyje na ziemi, czy komar. Choćbyśmy całe wieki walczyli z nieprawdą, na nic nasze wysiłki, bo nie wiemy, gdzie prawda, a gdzie fałsz. Moralność nasza to fikcyja, zmieniająca swą postać, tak jak moda zmienia krój sukni lub fason kapelusza... Czy tak streszczam pańskie teorye, panie Konradzie?..

KONRAD. Mniej więcej tak; tylko ja wcale nie radzę ludziom jeść, pić, weselić się, a twierdzę, że rozumny człowiek powinien żyć tak, żeby jaknajwięcej otrzymać przyjemności i jaknajmniej cierpieć. Nie znaczy to bynajmniej, żeby nie trzeba było robić przyjemności innym, a tylko sobie, albo szerzyć dobro, prawdę etc. Piękne rzeczy (w przekonaniu świata) — owszem, komu robienie dobra ludziom sprawia zadowolenie, kto wierzy, że owo niby dobro nie pociągnie za sobą



jutro złych następstw, jak to najczęściej bywa niestety. Któż mu przeszkadza bawić się, jak dziecku, co to siada na papierowego konia, smaga go biczem i wyobraża, że jedzie? Komuś podoba się budować kościoły, stawiać klasztory, nosić włosienicę, palić się na stosie, walczyć na barykadach za wolność, równość, braterstwo... — nie mam mam przeciwko temu. Ów zabija, kradnie, pali siedziby ludzkie, — cóż, na to jest sprawiedliwość, aby pohamowała jego zbrodnię...

MIKOŁAJ. Dość już, dość, panie Konradzie, — zapaliłeś się... Wypijmy jeszcze po kieliszeczku. (Nalewa.)

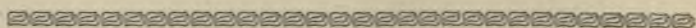
KONRAD. Nie, panie Mikołaju, pić więcej nie będę.

MIKOŁAJ. Tem lepiej. (Wypija sam.) No, cóż tam mówiłeś o morderstwie z przekonania?...

KONRAD. Et, albo to z wami warto mówić o takich rzeczach?...

MIKOŁAJ. Czemu nie, panie Konradzie, czemu nie?.. Zresztą dajmy pokój tym wszystkim teoryom; powiedz mi pan lepiej, czy pójdziesz pan ze mną do „pewnego domu“? Być w Rzymie i nie widzieć papieża—to się nie godzi...

KONRAD. Nie, panie Mikołaju, wybacz mi, — towarzyszyć ci nie będę. Jakkolwiek nie uznaję wszel-



kich bzdurstw moralnych, nie pójde, — jestem wymęczony, list muszę napisać.

MIKOŁAJ. Znowu list? No-no, no-no, zaleli mu za skórę... Naturalnie do żony... Cóż to? po dwa razy na dzień piszesz pan do niej, czy co?

KONRAD. Bywa czasem tego potrzeba...

MIKOŁAJ. Potrzeba, potrzeba... No, jak pan sobie chcesz,— namawiać nie będę,— bądź co bądź, pan jesteś człowiek żonaty.

KONRAD. Żonaty... Wcale nie dla tego, żem żonaty, tylko...

MIKOŁAJ. Ta, ta, ta! no was do dyaska, dowiedzenia.

KONRAD. Życzę wesołej zabawy.  
(MIKOŁAJ ubiera się.)

MIKOŁAJ. Moje uszanowanie! (Odchodzi.)

(KONRAD po odejściu Mikołaja stoi pewien czas nieruchomo, potem zaczyna chodzić po pokoju.)

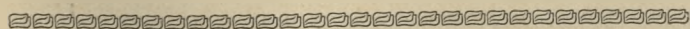
KONRAD (do siebie). Sympatyczny człowiek, choć gbur i oryginał. Nie poznasz, w co on wierzy, czemu hołduje... Niby taki zimny, a zajrzyj do duszy, znajdziesz tam całe morze namiętności. Z pozoru sądząc ludzie go zowią dzikim, nawet egoistą; lecz czego to ludzie nie zmyślą. Gdy

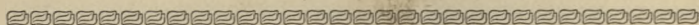
trafi kozioł do baraniego stada albo baran do kozłów. natychmiast powstaje wrzawa. Czyż mało dowodów ku temu? Iluż to jest opileców, karciarzy, oszustów legalnych i nielegalnych, uwodzicieli, marnotrawców w naszych Lubawach, jednak obywatele patrzą na nich, jak na zjawisko konieczne, przyjmują ich do towarzystwa, składają hołdy nawet... A niechno przyjdzie ktoś taki, co powie tymże obywatelom, że opileca, karciarz, oszust, uwodziciel, marnotrawca mają tyleż racyi bytu, jak i dobroczyńca, idealny ojciec rodziny, wzorowy obywatel, — ciż sami ludzie, co to składali hołd owym panom ze względu na ich bogactwo, dostojęństwa etc., wnet wszyscy zawołają: „Precz z nim! to człowiek zdemoralizowany, zepsuty do szpiku kości! to zaraza dla stron tutejszych, jak mówi Kryłow. Czyż dlatego, by zasłużyć na uznanie w oczach świata, potrzeba kraść i krzyczeć głośno: „siódme — nie kradnij“, lżyć i zabijać bliźnich na zdrowiu, mieniu, zatruwać życie otaczającym i wołać: „nie zabijaj“, uwodzić cudze żony, unieszczęśliwiać dziewczęta i głosić: „nie cudzołóż“... Gdzie sens? gdzie logika? Czyż to nie to samo, jak gdyby ktoś kradł i rozumował: „Moralność, prawo boskie i ludzkie wzbraniają kradzieży, lecz ja kradnę dlatego, że jestem słaby, a potrzebuję żyć; któż z nas zresztą nie kradnie?“ Albo rozumowanie: „Nie wiem, czy kraść jest źle lub dobrze, bo w nieomylną ludzką moralność nie wierzę; kradnę jednak, gdyż potrzebuję żyć...“ Dlaczego złodziei jawnych,





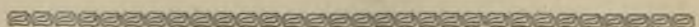
lecz głoszących siódme przykazanie, sadzają na pierwsze miejsce, a złodziei takich, co się przyznają: „tak, kradnę, bo nie mam z czego żyć, lecz nie wiem, czy mi wolno kraść, czy nie, według prawa samej natury i według sprawiedliwości, jak ja ją rozumiem, a nie według tej, w którą każą mi wierzyć!“ — dlaczego takiego człowieka wyrzucają za drzwi? Kto więcej zasługuje na nagane, z punktu widzenia moralnego: czy ten, co świadomie robi źle, — czy ten, co nie wie, co jest złe, a co dobre, i czyni również źle? Oni na to odpowiadają: „Bądź podłym, lecz milcz, nie głosź swych zasad niemoralnych.“ Moi panowie! dlaczego wy głosicie cnotę, będąc sami podli, i nikt wam tego nie broni? — „Dlatego, że Waś demoralizujesz otaczających...“ — Ej, panowie dobrodzieje, marne są widocznie wasze zasady, skoro boicie się, by ich nie zachwiano lada zdaniem. — „Nie, bynajmniej, to nie obawa; bać się niema czego; ale zechciej zrozumieć, że towarzystwo takiego człowieka, jak pan, nie może być sympatyczne... Zgódź się pan także, że nie może być miłym człowiek, który jest o tyle niemądry, że wygłasza swe teorye pierwszemu-lepszemu, kto go słuchać zechce“. — A wy, państwo dobrodziejstwo, czyż nie tak samo rozgłaszacie swe myśli wszystkim? — „My co innego; nasze myśli każdy uzna, bo są słuszne...“ — Ej, a co mi państwo zrobicie, jeśli ja tej słuszności nie uznaję — „Jesteś pan chory człowiek...“ — Być może, ale bądź co bądź ja waszej zdrowej moralności





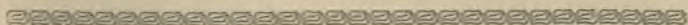
nie uważam wcale za wyższą od swojej. — „Ba, ale któż to przekonywa świnie o smaku migdałów?“ A jeżeli niema z kim mówić?... Cóż to? mam roznosić ploteczki po domach albo mówić o kuchni i dzieciarni z paniami, a o kartach i gatunkach piwa z panami? Po to człowiekowi dany język, żeby mówił. Przecież nie będę podawał ogłoszenia do gazet takiej naprzykład treści: „Dekadent, człowiek, nie uznający moralności i nie posiadający zgola nic wspólnego z otoczeniem, poszukuje takiegoż degenerata dla konwersacyi“. Niech którego z was, moi panowie, posadzą choćby między anioły, lecz, jeśli ci aniołowie będą mówili o tem, co was ani odrobinę nie obchodzi, zobaczymy, czy nie poczniecie wykladać im zasad winta. — „Bądź co bądź, musisz nam ustąpić, bo nas wielu, a tyś jeden, jak ślimak po deszczu, którego lada przechodzień rozdepcze.“ — Owszem, bądźcie łaskawi, rozdepczcie mię, jeśli wam to się podoba; wdzięczny będę za to.

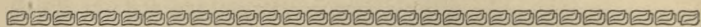
Co najgorsza, że nawet złota żonusia i ta przeciwko mnie. Napisałem do niej cierpki list w odpowiedzi na jej pretensye pieniężne, i skutek ten, że już dwa tygodnie nie raczy dać znaku życia. Zosiętko droga! cóż to? mam na klęczkach błagać cię o przebaczenie? mamże czołgać się, jak robak, przed twym majestatem, nim przeminie zapalczywość twoja, pani. Zgrzeszyłem—to prawda; ale czyś ty nigdy nie wykroczyła w niczem przede mną. Przypomnij owo ciskanie ze złości



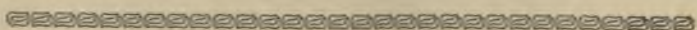


tem, co było pod ręką, kiedyś nie pozwolił dziecku skrzypieć drzwiami... Powiesz zapewne, żeś wtedy miała rację?!.. Ba, przecież wy zawsze macie rację, ja tylko jej nie mam. Trudno mieć rację egoiście, jak wy to rozumiecie. Oj, to wasze rozumowanie! — jeżeli coś ludzkiego pozostało we mnie, wiedźcie, że tem posądzeniem mnie o egoizm płoszycie to ze mnie do reszty. Egoista, egoista! a wy coście zrobiły ze swoim altruizmem? — Szanowna szwagierka, a twoja ukochana siostra, jakie sceny ci wyprawiała w czasie twego pobytu u niej, lżąc cię brudnymi słowami! — miejsca sobie znaleźć nie mogłaś; a teraz, kiedy ciężar ze swych pleców zwała na cudze, bieży za owym upadającym pod ciężarem krzyża Cyreneuszem, wrzeszcząc na całe gardło: „Ludzie, patrzcie, to jest łotr, egoista; on dzieci swych nie kocha, żonę dręczy. Siostru ukochana, powinnaś nienawidzieć go, bo to człowiek podły“ i t. d. w tym guście. A nieraz radaby w kark dać ze złości i kopnąć nogą tak, żebym padł pod uderzeniem. A Tyś, moja żoneczko, coś mi wyświadczyła? jakie jest tve poświęcenie się dla mnie?— może to, że kiedyś, kiedy byłem spokojny, szczęśliwy względnie, kochałaś mię gorąco, namiętnie, przyrzekając mi dozgonną miłość. A potem, kiedy opuszczony przez losy i ludzi szukałem w tobie pocieszycielki, wyglądałem od ciebie słówka ukojenia, jak pies zgłodniały, bezdomny błaga oczami o kawał kości, skomlał i jęcząc pode drzwiami szczęśliwych, umykał ode mnie,





jak od wściekłego zwierza? A potem, kiedy los mi się uśmiechnął chwilowo i spotkałem cię znowu, tyś mi zaproponowała małżeństwo, twierdząc, że owe okrucieństwo było komedią dla mego szczęścia. Lecz, gdym się nie zgodził, motywując odmowę ubóstwem i niedołęstwem, błagając jednak o miłość siostrzaną, tyś natychmiast odnowiła znajomość z przedmiotem pierwszej niby swojej miłości, a na moje braterskie uczucia odpowiedziałaś szyderstwem i wzgardą. A gdy cię ów ukochany, nasyciwszy swe bydlęce chucie, porzucił na łaskę losu z owocem owej nieszczęśliwej miłości, wtedy głodna, obdarta, bez koszuli prawie na karku, znowu przyszłaś do mnie, i usiłowałaś mnie, jak głupiego, przekonać o stałości swych uczuć pomimo wszystkiego, co zaszło. Potem manewrując zręcznie, czułymi listami, obietnicami stworzenia mi raj u na ziemi etc. doprowadziłaś do tego, że ja, nie widząc innego punktu oparcia na całej kuli ziemskiej, przylgnąłem do ciebie, jak się czepia pijany płotu, albo (mówiąc językiem poetów) jak muszla przylepia się do okrętu, miotanego falami morza... (Słychać stapanie w korytarzu. Konrad uradowany.) Może to listonosz! (Nadstuchuje, otwiera drzwi, rozgląda się, poczem zamyka z irytacją.) — „Niestety, to służący hotelowy!... (Po chwili.) Całe dnie przekonywałem cię o swej chorobliwości, malując jak najczarniejsze obrazy naszego wspólnego pożycia; tyś milczała. Staralem się dowiedzieć coś od ciebie o twem uczuciu dla mnie;

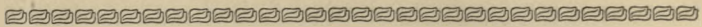


ty mówiłaś mi: „Kocham cię, kocham!“ I cóż?—  
wykryło się nareszcie, że to wszystko było naj-  
czarniejszą obłudą, użytą w celu nadania na-  
zwiska dziecku od owego gacha. Chciałem się  
cofnąć,—było już zapóźno... Ożeniłem się z tobą  
w czasie, kiedy sam ani kąta, ani chleba nie  
miałem. I wy mi, nieszczęsne, mówicie: „Podły  
egoista!“ O, gdybym cię tyranizował tak, jak  
dziki Tatar tyranizuje swe żony, i wówczas na-  
wet nie otrzymałabyś należytej zapłaty za krzyw-  
dę, jaką mi wyrządziłaś. Ty sądzisz, że ja cię  
umyślnie dręcę, przez zemstę; mylnie sądzisz,—  
nigdy mi przez myśl nawet nie przeszło mścić  
się, bo cię kocham, pomimo wszystkich moich nie-  
szczęść, jakich powodem stałaś się. Mówicie, że  
ja nie zdolny jestem do poświęceń. O, do ta-  
kiego poświęcenia, jakim jest wasze, mógłbym  
być więcej zdolny, niżli wy z całym arsenałem  
swych mniemanych cnót kardynalnych i pod-  
rzędnych, — inaczej jakieżby mię licho zmanió  
utrzymywać cudze dzieci, kiedy własnych cier-  
pieć nie mogę! Wyobraźcie sobie życie z żabą  
albo z innym jakim plugawym płazem, widok  
którego doprowadza was do histeryi. Otóż,  
wy wiecie, że dla mnie małe dzieci są tem, czem  
dla was płazy, a jednak ja je znoszę dla mi-  
łości żony, a nawet staram się wszelkiemi siłami  
wzbudzić w sobie miłość do owych dzieci k'woli  
tobie, moja Zosieńko. A to zamknięcie siebie  
samego w czterech brudnych ścianach, pozbawie-  
nie siebie zadowolenia wymagań swej zepsutej

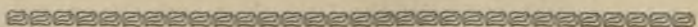
czy artystycznej natury, jako to: teatru, muzyki, podróży, bez czego wprost żyć mi trudno. Zamiana życia spokojnego na właśnie domowe, hałasy dzieci, — schludności na brudy i niechlujstwo żony, — zamiana przyzwoitego dostatku na nędzę jęczącą, żebraninę u ludzi, bawiących się, i zgrywających komedję dobroczynności, — zaciąganie długów, które palą mię ogniem piekielnym i których dla żadnego celu osobistego nie byłbym w stanie zaciągać, — czyż nie mówią wyraźnie, że dla miłości (egoistycznej, czy innej jakiej, to już inna kwestya, — ja wszystko nazywam egoizmem) wiele zrobić z siebie mogę. Przecież łatwiej chyba człowiekowi moralnemu zmusić siebie do tak zwanych dobrych czynów, niżli immoralistcie. Czyż sądzisz, moja pani, że, gdybym ciebie nie kochał, gdybyś mi była niepotrzebna, jabym ciebie sprowadzał do Lubaw z całym taborem brudów i smrodów? Cóż to? strach przed opinią, obawa sądu ostatecznego, albo może wyrzuty sumienia zmusiły mię do takiej ofiary nad moje siły?... Często jestem przykrym, cierpkim, skąpym na serdeczność dla dzieci, — w chwili podniecenia nagadam nieraz przykrych rzeczy, użalam się przed krewnymi na ciebie, chcąc zdobyć pewien zasilek pieniężny na potrzeby dzieci; często mogę zadrasnąć twą miłość własną opowiadaniem niektórych szczegółów o twem życiu osobom obcym. — Owszem, schylałam czoło i biję się w piersi, powtarzając:

„Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa“; gryzę się na samo wspomnienie tych wszystkich bezceństw. Ależ ja się przyznaję do sobkowstwa,— ja się nigdy nie chełpię swym altruizmem, nigdy nie śpiewam: „Patrzcie, jakim dobry, jaki szlachetny“. A powiedzcie, czyście kiedy się zastanowiły,— żeście bynajmniej nie lepsze od innych ludzi, noszących w zoologii nazwę „homo sapiens“, żeście nie lepsze nawet ode mnie, podłego zwierza. Wy się chełpicie miłością do dzieci,— tego nawet świnia dokaże; chełpicie się miłością do gachów,—tem się i „taka“ odznacza; chełpicie się poświęceniem dla męża-egoisty, — to potrafi i sknera z Bajarza Polskiego, czuwający nad skarbem, aby go nie skradli złodzieje, albo akcyonaryusz komersyjny, ratujący swe akcyje od upadku kursu... (Słychać stąpanie w korytarzu. Konrad znowu dopada drzwi, wygląda przez nie i zamyka z rozpaczą.) — To praczka!...

Gdzie jest wasza miłość dla bliźnich, którą wygłaszacie? — wskażcie mi choć jeden przykład poświęcenia się waszego dla społeczeństwa, dla podniesienia ludzi upadłych, nieszczęśliwych? Może te marne trzy grosze, które dajecie kalekom, ubogim albo płacicie za bilet do teatru amatorskiego, na koncert, loteryę, lub inne wybryki tańczącej dobroczynności, są dowodami waszej idealnej natury? Może te kilka rubli, które pożyczaliście studentom na studia, w niejasnej nadziei złapania któregoś z nich na męża, świadczą



o waszem poświęceniu się dla sprawy oświaty, dobra i prawdy? Może to, że, będąc pannami, spotkawszy na ulicy bezdomną sukę lub kota zdychającego, miast zabić je, aby się nie męczyły, wy zabieracie do mieszkania swego i pod wpływem popędu do macierzyństwa, w braku dzieci, pielęgnujecie je i męczycie siebie, otaczających i owe zwierzęta powolnem tych ostatnich konaniem? albo to, że, porodziwszy ułomne dziecko, które może z czasem stać się potępińcem na ziemi i ciężarem dla społeczeństwa, wy przez instynkt bydlęcy wzdrygacie się na samą myśl pozbawienia się owego nieproszonego przybysza, może to odkrywa światu wasze anielskie serce?— O nie, nie, stokroć nie! — wszyscyśmy podli, wszyscyśmy egoiści, z tą tylko różnicą, że ja się przyznaję do tej podłości, a wy nie. Teraz na przykład piąty list błagalny, wysłałem do ciebie zebrzący przebaczenia mi szału chwilowego, moich chorych nerwów; użyłem wszelkich zasobów pisarskich, siedziałem godzinami nad listami, nie spałem całe noce, dręcząc się i nad słuchując; każde skrzypnięcie drzwi, każdy szmer zapowiadał mi posłańca z telegrafu z jakąś wieścią od ciebie o chorobie twojej lub dzieci, bo nie innego przypuszczać nie mogłem. Nie może być! dotychczas nie wierzę, żeby mógł istnieć na świecie człowiek tak okrutny, który, znając mię, znając mój okropny temperament, znając męczarnie moje, równych którym mało chyba na świecie, nie zrobiłby mi tego, co się robi we dwie mi-





nuty, nie napisał paru słów na papierze, kiedy o to go proszę całe tygodnie. O, zaiste, wy, co na mnie błotem bryzgacie, nieszczęsne kobiety bezmyślne! czy wy zastanawialiście się kiedy nad tem, że u was samych niema tyle nawet serca, ile serca mają bandyci, obdzierający przechodniów na rozstajnych drogach? Ileż to razy, przypomnij sobie, moja jedyna Zosieńko, ty mię trzymałaś pode drzwiami swemi, złamanego, rozbitego, z rozdartemi z bólu żyłami, jak niegdyś okrutny Grzegorz trzymał dumnego Henryka! ileż to razy głucha i ślepa na me skargi i męki odpędzałaś mię precz z oczu, jak okrutny sędzia odpędza potępionego, błagającego o litość! I ty mi mówisz: „podły egoista“ albo, powodowana popędem płciowym, wołasz: „Ja cię kocham, Konradku.“ Bodajby was z waszą miłością! Oj, wy kochacie mię! tak mię kochacie, że aż kości moje od waszej miłości trzeszczą. A jednak ty mi jesteś droga, moja Zosieńko! może dlatego droga, żeś jedyna, że nie mam nikogo na świecie bliższego dla siebie! może dlatego ja cię tak cenię, że nie mam nikogo więcej! Bohater pewnej powiastki Maksyma Gorkiego powiada: „Czasem człowiek się przywiązuje do bydłęcia, do psa naprzykład, dlatego, że nie ma do kogo przywiązać się, a człowiek koniecznie potrzebuje coś kochać“... (Znowu słucha przez pewien czas, otwiera drzwi, — twarz mu się skrzywia w konwulsjach.)

Nie wiem, może w tobie jest coś lepszego, coś wyższego; nie jestem pewny, czy ty wyróż-

=====  
niasz się czemśkolwiek od innych kobiet - samek, nie sięgających poza koniec swego nosa, nie uznających nic wyższego nad miłość do płodzonych dzieci i nic przyjemniejszego od zapachów i brudów domowego ogniska! może u ciebie niema ani rozumu, ani serca! może ta cząstka wyższości, którą w tobie widzę, jest li tylko urojeniem mózgu, zamglonego popędem płciowym! Jednak cię kocham, moja ty jedyna, bo potrzebuję kogoś kochać,—bo zdolność do znoszenia samotności jest udziałem bardzo niewielu ludzi wyższych,—bo wielu jest głoszących zasadę Schopenhauera: „szczęście należy do tych, którzy umieją wystarczać sami sobie, — umysły wyższe nie potrzebują zgiełku i wrzawy tłumu“, ale pustelników, stosujących się do owych zasad, bardzo mało. O, moja ty jedyna, droga istoto! dlaczego losy nie szczędziły nam tych okrutnych męczarni? dlaczego myśli nasze są tak dalekie od siebie? dlaczego przekonania nasze tak są różne? dlaczego ideały nasze tak niepodobne jeden do drugiego? O, cobym dał za to, cobym uczynił, aby się zbliżyć do ciebie, albo żebym mógł cię zbliżyć do swych poglądów na komedię życia! Wolałbym stać się podobnym mieszcuchom, których nie porusza, prócz żądzy bogactw dla dzieci! bodajbym stał się wyrobnikiem albo pasałbym trzodę! O, zaiste, mógłbym rzec z Mickiewiczem: „...gdybyś, moja miła, wiernego ci skazańca poglądy dzieliła, jabym cię za rękę po tych skałach wodził, jabym trudy podrózne

=====  
44

~~~~~

piosnkami osłodził..“, nie wyłączając bzdurstw o ryczących strumieniach, w które poeta wyobrażał siebie rzucającym się dla miłości swej gąski-bohdanki, aby pod nóżki owej sztuki mięsa dostawać z wody kamienie. Bo kiedy u człowieka mózg i serce pała, wtedy, choćby był najskrajniejszym sceptykiem i pesymistą, zawsze mu fantazyja oczy zasłoni, zamgli rozum i stworzy takie obrazy, takie przypuszczenia, jakie mogą się wyłęgnąć tylko w umyśle obłąkanego.

O, Zosiu, moja złocista, najmiłsza! po co mię tak męczysz? Jeżeli mię nie kochasz, cóż ci przeszkadza powiedzieć mi to otwarcie? Bądź pewna, że cię dręczyć nie będę i uwolnię cię na cztery strony świata, dokąd zechcesz. Litości od ciebie nie... żądam. Tyś mi wszystkim! ja dla ciebie niczem! Odejdź ode mnie, proszę cię, dokąd chcesz i pragniesz, tylko mię nie dręcz swym okrucieństwem, nie skazuj na męki Tantalą. Zostaw mnie samotnym, opuszczonym! zostaw z moimi skargami, z moim bólem! zostaw jednego, bez pomocy, bez żadnej duszy blizkiej na ziemi... Ale nie! ty mnie nie opuścisz, ty nie porzucisz zupełnie! tyś taka dobra, taka łagodna! ty rozumiesz, co to jest cierpienie, co to jest dla mnie samotność i opuszczenie. O, moja ty pieśzotko, mój skarbie! ja bez ciebie jestem jak roślina bez słońca i rosy. Wejrz na mnie, na moje męczarnie! pociesz mię, przygarnij do siebie, ukoj, ostudź rozpaloną od nocy bezsennych głowę moją, uspokój me rozszalałe nerwy

=====

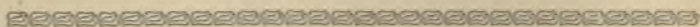
(Izy mu płyną z oczu), otrzyj łzy, które, jak dziecko, opuszczone przez matkę, wylewam. Wstyd mi za siebie. Ty mnie doprowadzasz do stanu, z którym wcale nie do twarzy mężczyźnie (płacze). Jakaś Ty okrutna!... A może tam coś zaszło złego? możeś chora? może z dziećmi co się stało? może jakie nieszczęście dom nasz nawiedziło? — przecucia czarne trąpiły mię przed odjazdem z Lubaw, a przecucia rzadko mię mylą... Ale coby to mogło być takiego? — ginę w domysłach: pożar? kradzież?... Ale przecież znalazłaby się chwila czasu do zawiadomienia mnie o tem... Zresztą ona, moja Zosieńka, wcale tak się nie poddaje rozpaczom od nieszczęść materyalnych. Chyba choroba dzieci, a może śmierć którego z nich? — dobrze by to było, o jak dobrze, gdyby wszystkie pomarły! jaby w tedy odpoczął, ochłonał, od bied, nędzy, brudów i smrodów domowych... Ale coby się z żoną stało?... strach pomyśleć. O nie, nie! niech żyją lepiej, skoro bez nich niema szczęścia dla niej, skoro żyć nie może bez owych brudów! Bo cóż z tego, że miałbym pieniądze, schludność i spokój w domu, kiedy straciłbym żonę, ona mogłaby zwarzjować przy swem usposobieniu sama z powodu straty dzieci. A może to jakaś intryga? (Pąsowieje, oczy pałają ogniem.) Może szwagierka co naplotła? może przyjaciółki, ta hydra o stu językach, wywołały u niej niechęć do mnie? może... Aleksy?... Tfu! do jakich bzdurstw dojść można w moim stanie... Chociaż mądre przysłowie ruskie powiada: „nie wierz koniowi

=====

=====

w polu, a żonie w domu“... kto wiedzieć może, wszystko bywa na świecie... On wciąż do nas łązi, już drugi rok, prawie codzień, — że nie do mnie, jestem tego najpewniejszy. Obrzydł mi nieraz ze swoim natręctwem, swojemi drwinkami, tanimi koncepcikami, swoją zdawkową moralnością, głoszeniem zasad ewangelicznych, którym hołduje tylko w słowach... (Podejrzewam nawet, że to jest wędka na łatwowierność kobiet, które tak łatwo w bezmyślności swojej tworzą sobie ideały ze słówek miodowych, płynących z cukrowych ust gachów, jeżeli ci ostatni odpowiadają doborowi płciowemu, owemu nieubłaganemu prawu natury, które zaslepia najpotężniejsze nawet umysły, nie tylko taki, jak u mojej Zosi. Ona tak się raz haniebnie zawiodła, tak się „oparzyła“, mówiąc językiem pospółstwa! ale to im nie przeszkadza bynajmniej tworzyć sobie nowe bałwany... bo powiada Schopenhauer... (Słychać stąpanie po korytarzu.) Cicho, ktoś idzie!... (Drzwi się otwierają, wchodzi listonosz. Konrad pąsowieje, ręce mu drżą, jak w febrze, łapie list. Listonosz odchodzi.)

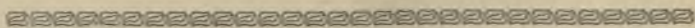
KONRAD (trzymając list w drżącym ręku). Nareszcie Zdobyła się! wysłuchiwała mnie z wysokości swego tronu. (Bierze karafkę z wodą, nalewa, wypija i chodzi nerwowo po pokoju.) Dziwna rzecz! jestem tak nerwowy, tak niecierpliwy, a gdy otrzymam list, choćbym na niego czekał miesiące całe, choćbym pragnął go, jak teraz, otwieram nie odrazu, jakby chcąc odroczyć choć na parę minut złe wieści, jakie ów list z sobą przynieść



może. A może to wrodzona akuratność i pedanterya? (Bieże scyzoryk, rozcina list jaknajregularniej, choć ręce mu drżą, wyjmuje list, kładzie go na stół, wypija drugą szklanekę wody, po chwili czyta głosem drżącym:) Kochany Konradzie! Nie pisałam do ciebie tak długo dlatego, że nie wiedziałam, co mam pisać po twym tak miłym liście. Muszę ci zakomunikować nieprzyjemną nowinę: wywiązała się u mnie jakaś choroba kobieca. Było tak źle ze mną, że musiałam udać się do Malewicza; powiedział, że powinnam się mieć na baczności, i zabronił stosunku płciowego przynajmniej przez półroczce, — inaczej zagroził rakiem. Ja obawiam się że już jest rak. Co do tego, że nie będziesz miał czem karmić mnie do wiosny, nie bój się, bo natychmiast po twoim powrocie do Lubaw, wyjeżdżam do Warszawy, gdyż niepodobna nam żyć razem, jak rodzeństwu. Kiedy przyjedziesz? — chciałabym widzieć się z tobą przed odjazdem. Zofia“.

(Konrad stoi długi czas nieruchomy, ręce mu drżą; składa akuratnie list do koperty, opuszcza w boczną kieszeń, potem chodzi naprzód powoli, następnie prędko, potem znowu powoli, nareszcie mówi:

Ot, masz tobie! Mówiłem, że przecucia mię nie mylą... Sprawdziło się. Ona chora. Biedna! Cóż ja teraz pocznę nieszczęśliwy człowiek? — na kurację potrzeba pieniędzy, a skąd ich wezmę, kiedy nie mogę zdobyć się nawet na kupienie butów? Pfe, o czem ja myślę w takiej chwili? — nie bez racyi zowią mię materyalistą. Ale bądź,



co bądź, stan mój materyalny jest okropny, a tu nowa bieda... Może wreszcie ja nie umiem myśli połapać? Bywa czasem tak, że człowiek w najkrytyczniejszej chwili myśli o jakiejś drobnostce, czasem nawet śmiesznej... Pamiętam — w czasie pożaru ojcowskiej siedziby (a byłem już wtedy dorosły) myślałem o tem, co by to był za ładny widok, gdyby sterty z palącą się słomą wiatr podniósł w powietrze... Może to ja jeden tylko taki, bom egoista... Nie! wszak to bywa i u innych ludzi, dobrych czy obłudnych, — któż to raczy wiedzieć? Bo Chrystus powiedział: „biada wam, faryzeuszowie, obłudnicy“... Ale ja chyba szalony jestem, co mi za myśli lażą do głowy... Żle, panie Konradzie, źle! może to maligna? (Łapie się za głowę.) Nie, zdaje się wszystko w porządku. (Nalewa wodę do szklanki i, dosypawszy proszku Botkina, który szumi, wypija haustem.) Wyborny napój! — będę go pił zawsze, choć mój żołądek poprawi się. Wdzięczny jestem Malewiczowi, że mi go wskazał. Ależ co ja sobie myślę! toż bieda w domu; żona chora na jakąś chorobę kobiecą... Cha, cha, cha!.. otóż macie samki rodzaju ludzkiego! oto wasze szczęście macierzyńskie, wasze pociechy — skutek zaspokojenia waszej bydlęcej natury: „z wypełnienia najświętszego posłannictwa waszego“, jak wy to nazywacie... Co pleciesz, ohydny człowieku! ty drwisz sobie z cierpień żony, najbliższej dla ciebie istoty?! Nie, nie! ja nie drwię z cierpień żony, bo czyż ona winna, że środki zapobiegające okazały się nieskutecznymi, że

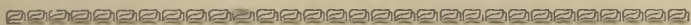
=====
sam może przyczyniłem się do jej choroby, za wczesnie po porodach požądając jej... Ale nie mogę nie zakpić z owych najświętszych obowiązków kobiety, bo, gdyby żona moja leżała spokojnie w łóżku, jak to jej było zalecone przez lekarza, gdyby nie wstawiała za lada poruszeniem się owego najdroższego potomka, (wszak mogła, co było potrzeba, załatwić sługa; gdyby sypiała, jak powinna sypiać rekonwalescentka), zamiast czuwać po całych nocach, nadsluchując każdego najmniejszego szmeru w kolebce, gdyby się nie irytowała i nie gryzła z racyi, że u kandydata do przytułków nocnych albo do bonifratrów żołądek w nieporządku, toby się nic nie stało. Sama mi pisała, że z powodu ustawicznego wstawania i niepokoju dostała krwotoku, że doktor kazał jej leżeć spokojnie w łóżku przez 2 tygodnie... Ale „gdzie ja tam wyleżę — zakończyła, — kiedy mój mały wciąż płacze“. Czy to nie jest dowodem, że nasze nieszczęsne kobiety same siebie doprowadzają do utraty zdrowia, sił, a czasem nawet życiem przypłacają swój brak rozumu? Ale cóż one temu winne? Ja sądzę, że, gdyby mogły, nie poświęcałyby się tak nieroztropnie. Co prawda, one to nazywają roztropnością, dobrocią i jeszcze wieloma, bardzo wieloma zaszczytnymi imionami. Powiedziane wszak jest: „o sancta simplicitas!“—albo w piśmie: „Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem ich jest królestwo niebieskie“. Może to ubóstwo duchowe? Owa święta naiwność dodaje im sił, i cierpienie,

straszne dla egoistów takich, jak ja, staje się dla nich lekkie i słodkie, jak słodkimi były męki dla pierwszych chrześcijan, co szli na stosy, na pożarcie bestyom w cyrku Nerona, z pogodą na twarzy dawali szarpać swe ciało na szmaty, chwając i wielbiąc Boga, który im cierpieć dozwolił dla chwały swojej... Nie! tu działają prawa natury, silniejsze nawet od owej ekstazy świętych męczenników za wiarę Chrystusa. Cóż ona winna, biedna moja Zosieńka, że nie chce z powodu zaślepienia swego przełamać owych nieubłaganych praw natury. Zresztą gdyby nawet i chciała, nie miałyby sił... Wszak ona te dzieci kocha tak, jak ja może jej nawet kochać nie potrafię, a czyż ja, taki egoista, mógłbym spać spokojnie, gdyby moja żona miała żołądek zepsuty i krzyczała w niebogłosy z bólu? One przecież nie odróżniają krzyku małego dziecka od krzyku dorosłego, — im się zdaje, że kiedy dziecko płacze, znaczy, że bardzo cierpi, a miarą owego cierpienia jest siła wrzasku dziecięcego... Zresztą dość tych rozumowań, bo one mię od biedy nie wyzwolą. Co teraz począć? Żona jest chora; lekarz zabronił jej żyć ze mną, a raczej mieć stosunek, więc chce ona zmykać do Warszawy, aby uwolnić mnie i siebie od męczarni zmysłowych i, jak mi pisze, od nędzy i rozpaczliwego położenia materialnego, jakie rzeczywiście niechybnie nam grozi, jeżeli się nie rozejdziemy przed Nowym Rokiem. Chce się zobaczyć ze mną przed odjazdem... A cóż, moi państwo, jeżeli to

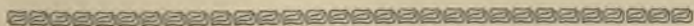
wszystko jest komedya, jakich było już niemało z jej strony?... Ona, taka zręczna pod tym względem. — jeżeli zechce coś skłamać, sam dyabeł chyba nie poznałby; nawet się nie zarumieni, — twarz u niej, jak u sfinksa, wiecznie blada; czy jest rozgniewana, czy łagodna, czy płacze, czy się śmieje, kocha czy nie nawidzi, wstydzi się albo jest bezwstydną,—oczy jej nigdy nic nie powiedzą; to marmur, a nie kobieta! Nie bez racyi powiedział Schopenhauer: „Przyroda, obdarzywszy byka rogami, dzika i słonia kłami, dała kobiecie dla samoobrony dar udawania“. Ten chłód, który wieje z jej listu, daje mi dużo do myślenia; coś się w tem święci. Żadnych serdecznych słów, — nawet najzwyczajszego w listach żony do męża „całuję cię“ na zakończenie niema. Ej, pani Zofio! w tem jest coś niedobrego! Nie może być, żebyś dotychczas jeszcze była obrażona za ów szalony list; przecież po nim wysłałem do ciebie aż cztery inne, w których tłumaczyłem, w jakim stanie był on napisany, i opisywałem ci, jak się męczę okropnie z powodu twego milczenia, jak nie śpię już tyle nocy i t. d. i t. d. To wszystko mogłoby poruszyć nie takie serce, jak twoje, bądź co bądź kobiece, miękkie, łagodne (tak przynajmniej ludzie mówią). Ale nie! co znowu za przypuszczenia! co za cel miałyby ona udawać chorobę? czyżby przez obrazę za ów list chciała się rozstać ze mną. Nie! to być nie może! nie może! — jestem pewny tego... Pewny? cha, cha! a cóż bywa pewnego na świecie? Tyle razy by-

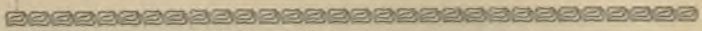
łem najpewniejszy czegoś! i cóż? — owe rzeczy pewne stały się aż nadto nawet niepewnemi. Ale teraz tak być nie może! ja nie chcę, aby się miało stać coś innego nad to, co ona pisze... Ten chłód — to wprost wynik cierpienia, choroby... Aha, dobry z ciebie, panie Konradzie, mężulek! Paradny sobie jesteś! Dlatego, że ci wygodniej, aby żona cierpiała fizycznie, ty mówisz: niech cierpi,—aby uniknąć czegoś innego, w obawie, że to coś może być gorsze dla ciebie nad chorobę żony (tylko dla mnie? — a może i dla niej?). A jeżeli to rzeczywiście rak, jak ona przypuszcza?... Nie! to być nie może! skądże znowu rak? jakież powody? przecież lekarz zalecił przerwać stosunek z mężem, i wówczas choroba nie straszna. Nie, tego w liście niema. — Niema, ale tak chyba trzeba rozumieć... Myśleć, myśleć? — indyk myślał i zdechł... A co, jeżeli lekarz nie chciał jej tylko prawdy powiedzieć? Brr!.. nie, nie! to być nie może! do licha takie myśli! oszaleć można! Zresztą, tak czy inaczej! ja sądzę, myśli moje nie zmieniają, tego co jest, więc niema co wyrzucać sobie braku serca w życzeniu, by z żoną było tak, jak ona pisze, i aby nie było gorszych rzeczy. Tak! ale bądź co bądź, to mówi dużo o człowieku... Plwać chcę na to, co kto mówi... Ha, gdyby to można było plunąć na wszystko, zerwać z całym światem i osiedlić się gdzieś na puszczy, jak Jan Chrzciciel!.. Znowu plotę bzdurstwa! Do czego ten Chrzciciel, kiedy żona chce mi zemknąć do

Warszawy! No, cóż! niech sobie jedzie! krzyżyk jej na drogę! Ale jeżeli jest rzeczywiście chora, przecież nie mogę jej puścić samej bez pieniędzy, bez opieki. A pieniędzy nie mam. Ona myśli, że ja nie chcę dać i że mi zupełnie wystarcza na wszystko, oraz, że jeszcze setka, druga znajdzie się w zapasie. Głupia! — jeżeli brak wiary do mnie zaślepia ją pod innymi względami, mogłaby przynajmniej zrozumieć, że przy moich dochodach nie podobna przeżyć z całym szeregiem potrzeb popędu płciowego i macierzyńskiego. Mniejsza o to, ale bądź co bądź, pozycya moja zbyt głupia. Tak przywykłem do swojej kobiety, że trudno mi wyobrazić sobie życie bez niej, szczególnie w Lubawach, gdzie nie znalazłem ani jednego człowieka, z którym mógłbym obcować. Jeżeli ona rzeczywiście chora, to musi ją bardzo męczyć owo kobiece cierpienie, tem więcej, iż do fizycznego bólu dołączają się stokroć silniejsze cierpienia moralne: obawa o przyszłość dzieci na wypadek śmierci (a do przypuszczeń takich baby bardzo są skłonne); obawa głodu w razie, jeżeli przestanę posyłać jej pieniądze; nareszcie musi chyba trochę myśleć i o mnie, że będę się męczył bez niej w Lubawach. A może ona wcale o tem nie myśli? O nie! to być nie może! — tyle czasu wspólnego pożycia zawsze musi zostawić ślad po sobie, i niepodobna jej porzucić mię tak, jakby się rozstała z murami lubawskiego grodu. Biedna moja! Choć my się rozumiemy z tobą, jak owca z wilkiem, jednakże

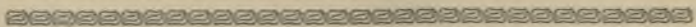


szkoda mi ciebie szczerze. Jedyna ty moja, biedna kobieto! Może ja, podły, niegodziwy, nie mało się przyczyniłem do twego cierpienia? O, jakże mi ciebie żal, złotko ty moje! Śmieszna jest, gdy dowodzi, że niepodobna nam żyć jak rodzeństwu; wszak żyliśmy tak, gdy byłaś razem ze mną, i nic mi się nie stało. Pieszczot i pocałunków swoich chyba mi nie odmówisz, a o resztę możesz być spokojna. Ale trzeba mi natychmiast napisać do niej, bo jeszcze może drapnąć przed moim powrotem... Sprzeda graty, albo pożyczę na moje konto pieniędzy, a potem łap wiatra w polu. Nie o pieniądze i nie o graty chodzi zresztą, lecz o to, iż może dyabeł ją skusić do zupełnego opuszczenia mnie na zawsze... (Podchodzi do komody, wybiera papier i inne materiały piśmienne, a jednocześnie mówi:) Brr!.. to byłoby straszne związać mię z tobą nierozzerwalnym węzłem i pozbawić na całe życie miłości kobiecej... Bo któraż kobieta zechce mię wtedy słomianego wdowca kochać, kiedy nie kochała żadna, jako kawalera? Zresztą, nie byłbym zdolny zadawać się kradzioną miłością w ciągłej obawie, że ktoś stoi z tyłu z sękatym kijem w ręku. Pozbawić mnie na zawsze jedyne go wsparcia i przywiązania do życia, oszelmować, jak ptaka, któremu by obcięto skrzydła i rzucono z wysokości na ziemię — to straszne, to okropne! O, moja Zosieńko! jacyśmy z tobą biedni! niema dla nas ratunku! (Bierze do ręki pióro, siada i pisze, — po chwili czyta:) Moja najdroższa, jedyna Zosieńko!





słoneczko jasne! List twój sprawił na mnie wrażenie pioruna... (Do siebie:) tak, pioruna, bo rzeczywiście nie spodziewałem się takiej historii i strasznie się przeląknęłam... (Pisze dalej i czyta:) Tyś biedna, chora, a ja, nikczemny, dodałem jeszcze ci cierpień swoim natręctwem, swoimi listami. Daruj mi, jeszcze raz cię błagam, bo rzeczywiście byłem nieprzytomny przez cały ten czas. (Pisze dalej.)





III

(Pokój ten sam, co i w pierwszym rozdziale. — Przy stole siedzą ALEKSY i ZOFIA.)

SCENA 1-a.

ALEKSY. I ty twierdzisz, że on cię kocha? Jakaś ty łatwowierna! Alboż nie widzisz, że w nim serca niema zupełnie? To człowiek, hołdujący swym nerwom, rozpustnym zachciankom zdemoralizowanej natury. Dusza jego nie zdolna odczuwać nic innego, prócz żądzy sławy, cześci, niskiej sławy idyoty, żadnego uwielbienia i hołdów dla mniemanego rozwoju umysłowego. Mniemany ów rozwój polega na rozumowaniu: czyń to wszystko, co lechce zmysły, — nie przebieraj w środkach dla dogodzenia swej lubieżności. Rodzina — to śmieszna, przestarzała instytucja; dzieci — to kamień u szyi; miłość bliźniego — głupstwo, potrzebne tylko dla ludzi ubogich duchem; wierność małżeńska — wymaga się jej tylko od kobiet, jak się wymaga wierności od psa, którego się karmi; obowiązki względem dzieci, rodziców, żony i blizkich — nonsens, mogący zachwycać

=====

jedynie umysły niższe... Alboż nie widzisz, że on jest zdolny w chwili rozdrażnienia zabić, otruć, zamordować i ciebie i dzieci,—że to nie czcze słowa, które tobie powtarza, które rozgłasza po całym mieście, chępiąc się przed lokajami, i pokojówkami. Wspomnij, co mówią ludzie o jego gnuśnem opowiadaniu szczegółów o waszym stosunku, szczegółów najdrobniejszych, nawet pieszczot nie-naturalnych (na naturalne nie stać takiemu zdezelowanemu lubieżnikowi). Całe biuro (a wiesz, jacy to są ludzie jego koledzy biurowi) doskonale jest poinformowane o waszem pożyciu domowem, o waszych kłótniach z powodu dzieci, o każdym ruchu, jaki w stosunku płciowym przybieracie; a poży te są tak ohydnie przez niego opisane, że nigdy nie przypuszczałem, aby kobieta tak święta, jak ty, była zdolną do podobnego wszeteczeństwa...

ZOFIA (z uniesieniem). Nie! to być nie może! zmyślasz! nigdy nie uwierzę, żeby on się posunął do takiej ohydny, tem bardziej, że nic podobnego między nami nie było nigdy! Nie mów mi lepiej. To okropne!...

ALEKSY. O, nie przerywaj mi. Niestety, to prawda, święta prawda... Serce się moje nieraz zżymało z żalości nad tobą, kiedy mi ten ohydny człowiek zwierzał się ze wszystkich brudów swej zgangrenowanej duszy, kiedy z miną smakosza przestarzałego, mlaskając ustami, przybierając gesta odpowiednie, opisywał owe roskosze zmy-

=====

słowe, jakie mu dawałaś,—wszystkie owe dotknięcia lubieżne, często o tyle nienaturalne, że się wzdrygałem na samą myśl o tem. Z pewnością on ci pokazywał zdjęcia fotograficzne ze scen, odbywających się w stanie zupełnego zbestwienia w domach publicznych, — owe psie sceny z werwetów paryskich, na same wspomnienie których odraza przejmuje...

ZOFIA. A jednak ty sam zdolny byłeś rozglądać owe brudy i nawet znajdowałeś przyjemność w tym widoku...

ALEKSY. Jam mężczyzna, nie związany niczem, żadnymi ślubami; zresztę tego dla mnie podobne widoki służą ku poznaniu całej nędzy tego świata...

ZOFIA. Dlaczego nie iść dalej w tym kierunku i nie zwiedzać domów rozpusty, aby się osobiście przekonać, do czego może doprowadzić człowieka upadek moralny?...

ALEKSY. O nie, nie! nie mów mi tego! Żeby to widzieć, żeby słyszeć, co się tam dzieje (ja tam byłem raz jeden tylko w życiu i zaledwie kilka minut mogłem pozostać), trzeba być psem, a nie człowiekiem. Co innego twój mąż, — dla niego niema chyba brudu, na który patrzećby nie był w stanie,—niema błota, w którym wzdrażałby się wytarzać, — niema zgnilizny, w którejby nie smakował. Możesz sobie wyobrazić, —

=====

w zeszłym roku, powróciwszy z pojazdzki swej do Sławska, natychmiast pochwalił się w biurze, że wspólnie z koleżką swoim, Mikołajem, zwiedzał domy publiczne i przyjmował udział w orgiach z ich mieszkankami, — pochwalił się, ile pieniędzy wydał na to, jakie wrażenie to zrobiło, no, i co za tem idzie, że nie omieszkał zaspokoić swych chuci. Wierzaj mi, — on to wszystko opowiadał w taki sposób, jak wcześniej opowiadał o stosunkach z tobą — bez cienia wstrętu, bez nuty wstydlivości.

ZOFIA. Nie! być nie może, aby on to skrywał przede mną, — on taki otwarty, każdą myśl, każdy swój czyn zawsze mi opowiada, jakkolwiek byłby brudny. Nie idealizuję go, wiele rzeczy w nim bardzo mi się nie podoba, ale ten człowiek tak strasznie cierpi, tak jest nieszczęśliwy, że przebaczyłabym mu wszelką zbrodnię

ALEKSY. Nie wierz mu. Cierpienia jego — to cierpienie nerwów, męczarnie jego — to męczarnie histeryczki. Na mężczyznę to za ohydne. Nie rozumiem, jak można mieć litość nad człowiekiem, który rozmyślnie popełnia bezeceństwa, tyranizuje tych, co go otaczają i współczują mu, a kiedy im sił zabraknie znieść jego despotyzm i spotyka go od nich kara obojętności, płacze, jak dziecko, i czołga się, jak płaz. To powinno być wstrętne dla normalnej kobiety. Naprzykład, taki postę-

pek z czasów bytności jego w Sławsku: Zapoznał się z niejaką panią Kowińską, osobą nie-inteligentną, prawie niepiśmienną, utrzymującą garkuchnię i nie posiadającą nic zgoła, prócz zdrowego cielska, sześćcio-pudowej wagi, kucharskiej cery i zdolności kokietowania furmanów. Otóż twój drogi mężulek rozkochał się w tej jejności (naturalnie po swojemu, jak on tylko umie); przesiadywał u tej osóбки całe godziny, włóczył się z nią co wieczór po teatrach, klubach i t. p. miejscach, no i naturalnie z pewnością nie omieszkał skłonić jej do zaspokojenia swych żądź bydlęcych, — przynajmniej, po powrocie opowiadał mi niejednokrotnie, jak ją ściszał, pieścił, namawiał do oddania się mu, jak się garnał i tulił ciało do ciała w sali teatralnej, balowej lub koncertowej w ciźbie i zgiełku tłumu, jak to niepostrzeżenie wykonywał wobec publiczności, dotykając się do nagich piersi lub cielska, zręcznie działając rękami... Niezdolny jestem powtórzyć to, bo wstyd mi krew do głowy przylewa... (Rozlega się dzwonek. ALEKSY zrywa się.) Ktoś przychodzi... lepiej ja odejdę... Z pewnością to pani Helena... nie lubię tej kobiety. Do widzenia. (Całuje w rękę ZOFJĘ, wkłada pośpiesznie palto i kalosze i wychodzi. Słychać powitanie w korytarzu, zamykanie drzwi wejściowych. Wehodzi pani HELENA.)

SCENA 2-a.

(HELENA w zimowym futerku, nie rozbiera się).

HELENA. Dobry wieczór pani! (Podaje rękę.)

ZOFIA. Dobry wieczór! (Całują się.)

HELENA (recytuje.) Myślałam, że pani niema w domu, — tak coś cicho. Aha, omal nie całowałam w się korytarzu z Aleksym, — tak tam ciemno.

ZOFIA (zwolna, apatycznie). Tak, rzeczywiście przykre wejście, ale u nas tak rzadko ktoś bywa, że się nie opłaca palić światło w korytarzu.

HELENA. A pan Aleksy? — ten, zdaje się, codzień bywa u pani...

ZOFIA. Panu Aleksemu tak dobrze są znane nasze kąty, że guza nigdy nie nabije...

HELENA. Szczęśliwa pani, że masz takiego męża, który nie robi scen zazdrości... Wie pani, przyznam się, że obecnie cierpię strasznie... Jak pani sądzi, — kto mi mógł zawrócić głowę? — proszę sobie wyobrazić, że jest nim Izraelita... Zna pani Małkina? — dla mnie jest to człowiek tak idealnie piękny, tyle w nim ognia i jakiejś nadzwyczajnej prostoty w twarzy, w obejściu, że do prawdy nie rękę za siebie... O, gdybym była w warunkach pani... Niech pani się nie gorszy moją niedyskrecją, alem ja już taka, — w chwili

szalu zapomniałabym o wszystkim na świecie: o mężu, o dzieciach, zgoła o wszystkim, o wszystkim... Wprost nie rozumiem, jak pani może cały rok widywać się z człowiekiem, który dla niej jest miły, sympatyczny, i patrzeć na niego, jak na obrazek, a mężowi pozostać wierną. Dobrze może postępuje mój mąż, że ma mnie na oku... No, jakże tam dzieci?—zdrowe? u małego żołądek poprawił się? Wie pani, powiedziała mi bratowa, że mu trzeba dawać kleik z mąki pszennej. Tak... wie pani: zalać mąkę zimną wodą, rozetrzeć dobrze, a potem...

ZOFIA. Wiem, próbowałam nieraz; niestety, nic nie pomaga. Jestem wprost w rozpacz o niego; upadłam zupełnie na siłach od nocy bezsennych; sprowadzałam aż trzech lekarzy,—wszystko na nic.

HELENA. A wie pani, niech pani spróbuje zaprosić Zwolińskiego. Choć on się dziś nie zajmuje specjalnie leczeniem, jednak, proszony do inteligentnych domów, nie odmawia wizyty. Do dzieci jest to lekarz jedyny... Czas mi już do domu tam Włodzik pewnie płacze, a i mąż wrócił na kolację...

ZOFIA. Pani zawsze tak, na minutę...

HELENA. Wiesz pani, co za historia w mieście? — potłukli się na wieczorku u Lewandowskiego: urzędnik z akcyzy, Bojarski, z inkasentem mono-

polowym, Palenbachem... Rzeczą poszła o pannę Owsiańską. Bojarski pozwolił sobie zakpić z panny Owsiańskiej: powiedział w towarzystwie mężczyzn coś w rodzaju tego, że u niej oczy, jak u kotki; na to Palenbach pali go w twarz raz, pali drugi, i nim się ten zdołał opamiętać, zwałił go na ziemię, poczem, tłukąc go i kopiąc nogami, złapał za kark i marsz za drzwi. Może pani sobie wyobrazić, — zgiełk, wrzawa wśród gości; rzucili się rozbrajać, ale już było za późno. Teraz podobno trzeba będzie się podać do dy-misyi... Ale, ale! dziś w klubie próba — na święta ma być koncert cygański; uczestniczą: Lichaczew, Leszczyński, Majewski, Osipowa, Dudzińska i in-ni. Ma to być bardzo ciekawe. Pójdzie pani?

ZOFIA. Nie wiem; jeżeli mąż powróci...

HELENA. Alboż to bez męża nie można chodzić do klubu?

ZOFIA. Owszem, dlaczegoż nie? ale przyznam się pani, że z pieniędzmi kuso...

HELENA. Głupstwo! pan Aleksy pożyczczy, tem bar-dziej, że mu to też sprawi przyjemność nielada...

ZOFIA. Ba! ale co mąż na to powie? — toć dla niego byłaby to chyba wielka przykrość, gdybym miała zaciągać pożyczkę od obcego człowieka.

HELENA. Et, co tam! mnie się zdaje, że dla męża pani zupełnie są obojętne takie rzeczy, — u niego miłości własnej nie za wiele.

ZOFIA. Za mało zna go pani, żeby tak sądzić.

HELENA. Nie trzeba go znać; on się sam daje poznać, rozpowszechniając w mieście swoje dzikie poglądy. Gdyby zresztą był dobry pod każdym względem, to jedno, że nie cierpi własnych dzieci, świadczy o jego sercu. Jabym nigdy nie mogła kochać takiego człowieka. Ale i adorator pani nielepszy; nie mam przeciwko niemu jawnych dowodów, jednak coś mi serce mówi, że to jest gagatek, jakich mało. Wie pani, że ja go wprost widzieć nie mogę; dlatego do pani tak nieczęsto przychodzę, żeby go nie spotkać... Czy pani czytała powieść Gołowina-Orłowskiego „Młodzież”? Warto przeczytać; ciekawa treść; szczególnie robi wrażenie pewien Dwiński, idealista i nikczemnik zarazem... Ale co z panią? pani taka błada, roztargniona!.. Ej, pani Zofio! coś z panią niedobrze... Czy nie zadali pani lubczyku? (ZOFIA śmieje się z przymusem...) No, ale trzeba mi zmykać do domu, — zanadto się zasiedziałam. Bóg wie, co się tam robi. (Wstaje.)

ZOFIA. Pani zawsze tak...

HELENA. Niech pani mnie nie zatrzymuje, bo naprawdę trzeba iść. Wypadałoby jeszcze zajść do

szwaczki; kostium nowy obstalowałam dla Władzika, — wie pani, taką marynarkę z wyszytymi kotwicami. Ślicznie wygląda. Będzie to prawdziwa przyjemność dla nas zaprowadzić go w tem ubraniu do klubu na choinkę. Czy pani zapisała swego Ryszardka? Koniecznie niech pani zapisze. Mąż z pewnością nie będzie kontent, ale już na ten raz niech wybaczy... Że też pani go nie może wziąć pod swoją opiekę. Aha! awantura! nieszczęśliwa pani Romanowa po raz dwunasty zaszła w ciążę! To okropne, jabym się powiesiła, gdyby mi trzeba było tyle razy rodzić. Do widzenia z panią, (Całuje ZOFIĘ.) Uch! jak że się zgrzałam! boję się dostać kataru.

(Otwiera drzwi i wychodzi, a ZOFIA za nią z lampą. Słychać rozmowę za sceną, otwieranie i zamykanie drzwi wejściowych, wreszcie ZOFIA wraca.)

ZOFIA (stawia lampę na stół, zapala papierosa, i siada, pozostając długo nieruchoma; po chwili mówi zeicha). Okropna rzecz, co się ze mną dzieje!... Wszystkie nerwy drgają. Czyżby ten człowiek, taki otwarty, mógł skryć przedemną swoje brudne postęпки? Wprawdzie on mi coś przebąkiwał o swych wycieczkach nocnych w Sławsku, pokazywał fotografie owej Rowińskiej; ale nie przypuszczałam, żeby zaszło coś tak potwornego. Co robić? Myśli mi się płaczą... Nie! po tem wszystkim ja żyć z nim nie mogę... nie mogę i nie chcę... Ja go nie potępiam, bo to rzeczywiście człowiek nieszczęśliwy,—ale na samą myśl o akcie miłośnym z tym człowiekiem

wzdrygam się. Przytem ta jego niczem nie wytłómaczona nienawiść do dzieci, do tych biednych niewiniątek... Co robić?... Serce się kraje... Och, po co Aleksy to wszystko mi powiedział? po co?... Lepiejbym nie rozumiała nic... Czego on chce ode mnie?... Jestże to zazdrość o męża czy też życzliwość ku mnie? Cobym dała za to gdyby to zrozumieć... Nie, on nie może być złym człowiekiem; nie, tacy nie mogą się posuwać do oszczerstwa. Z oczu mu patrzy co innego, twarz jego—to twarz świętego z obrazka; z czoła, zdawałoby się, biją promienie, a tembr głosu... jakież cudny, śliczny! — wiekibyśmy słuchała, kiedy on mówi! Powiadają, twarz to zwierciadło duszy,—niestety, nie zawsze. Zresztą twarz, głos, oczy to lichy dowody... Ale ja przecież nie od dziś go znam. Nieszczęście czy szczęście przyniosło go do naszego miasta. Od pierwszego zapoznania się bardzo mi się podobał. Potem zraził mię do siebie swoją głośną rozpustą z biedną szwaczką, Izraelitką. Dotychczas nie mogę mu darować tego postętku. Skłonić biedną dziewczynę przez faktora do oddania mu swej niewinności, pobawić się z nią przez parę tygodni, potem skłonić ją do oddania się innemu rozpustnikowi, by ten w dalszym ciągu przekazał trzeciemu i t. d., wykierować na formalną prostytutkę,—takie postępowanie godne jest zbrodniarza! Teraz znów druga taka ofiara, którą się stara skłonić do rozpusty z doktorem Ruszczycem. A ten romans z panią Laryszą, — rozbitcie rodziny w tak okrutny spo-

=====
sób! — Cóż teraz? rzuca ją, bo powiada, że go męczy, że mnie tylko jedną kocha. A mąż tej kobiety, nieszczęśliwy idealista, który zezwolił na ten romans przez nadludzką miłość dla żony, sam przybierając rolę brata, czyż nie jest go-dzien litości? A ona, biedna, opuszczona! a lzy dzieci, które nie mogą nie wiedzieć, co się w do-mu u nich dzieje! To okropne, to zgrozą prze-jmuje!... A jednak on nie może być złym czło-wikiem, — w przeciwnym bowiem razie nie mogła go kochać tak idealna kobieta, jak owa nieszczęśliwa Laryssa... On mi dawał jej listy do przeczytania, bym z nich streściła na piśmie jego wartość duchową... Po co mu to potrzebne? — może dlatego, żeby potem chełpić się przed mę-zczyznami dowodami swego zwycięstwa?... Czyż-by taka Laryssa nie poznała się na nim przez dwa lata swego z nim stosunku? Jakże ona może go nazywać swoją wyrocznią, najlogiczniej-szym człowiekiem, jakich zna? — ona, taka rozumna, z takim rozwojem umysłowym... O, nie, to być nie może! musi być w nim ide-alna natura, bo skądżeby... A jeżeli jest to zaśle-pienie kochającej istoty?... Przecież ja sama tak okrutnie się zawiodłam na pierwszym człowieku, którego kochałam i który postąpił ze mną, jak dzikie zwierzę... Tak, ależ ja tak prędko prze-jrzałam, choć już po czasie... Straszne to samo wspomnienie... Co teraz począć? dokąd się udać? kogo o radę spytać? (Cicho, płacze...)

=====

IV

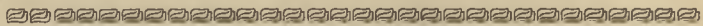
(Mieszkanie toż samo, co w I i w III rozdziale. — ZOFIA siedzi nieruchoma. KONRAD siedzi, wstaje i znowu siada.)

ZOFIA. Ja ciebie nie winię, nie potępiam bynajmniej, bo cóżeś ty temu winien, że masz tak spaczone pojęcia. Ale zechciej zrozumieć, że po tem, co się dowiedziałam od Aleksego, żyć nadal z tobą nie mogę. Najlepiej rozstańmy się teraz, zamiast dręczyć się wzajemnie.

KONRAD. Powtarzam ci, że Aleksey przesadził. Nie wypieram się, że wiele rzeczy dowiedział się on ode mnie, ale to dlatego tylko, że sam ze mnie wyciągał zwierzenia, łapał za słowa, z których potem fantazyja jego tworzyła to, co mu się podobało.

ZOFIA. Paradny sobie jesteś! — cóż to? ty dziecko jakieś, czy co, żeby można było zmusić cię do opowiadania wszelkich scen małżeńskich?

KONRAD. Wcale nie dowodzę, że mię zmuszo-



no, ale zechciej zrozumieć, że podstępny sposobem wielu rzeczy można się dowiedzieć.

ZOFIA. Jak sobie chcesz, ale to wszystko dla mnie jest niezrozumiałe... I żal czuję do ciebie wielki; postąpiłeś względem mnie tak nieszlachetnie, jak tylko człowiek niecywilizowany potrafi, — to tak, jak gdybyś mnie nagą wyprowadził na ulicę.

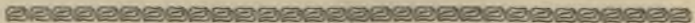
KONRAD. Nie przeczę, że zawiniłem bardzo względem ciebie, za co cię mocno przepraszam. Ale któżby tam mógł wiedzieć, że wy do tych rzeczy tyle wagi przywiązujecie! Ja tej waszej moralności nie rozumiem wcale.

ZOFIA. Nie kłam, bo nie raz cię i nie dziesięć razy prosiłam nadewszystko, abys nie opowiadał brudów miłośnych.

KONRAD. Ha, ileż to razy i ja ciebie proszę abys nie czyniła tego lub owego, ty jednak nie zwracasz najmniejszej uwagi na moje prośby.

ZOFIA. To zupełnie co innego. Zresztą, to nie wszystko, co mi wyrządziłeś. Czem naprzykład możesz usprawiedliwić swe wycieczki nocne, albo ową rozpustę z Rowińską, utrzymującą gar-kuchnię w Sławsku? (Porusza się nerwowo na krześle.)

KONRAD. Mówiłem ci, że pierwsze miały miejsce pod wpływem alkoholu, — przytem wierzaj mi,



=====

Zosiu, że nic się tam „brudnego“ nie stało. Z Rowińską zaś były tylko takie żarty, jak i z naszą Agatą.

ZOFIA. Dobrze mi żarty, kiedy całe miasto wie o nich! Anormalna przyjemność w popisywaniu się takimi brudami!

KONRAD (całując w rękę ZOFIĘ). Daruj mi, Zosiu i wierzaj, że wcale nic takiego nie zaszło, czegoś nawet przy swoich poglądach moralnych nie mogła mi darować.

ZOFIA (odbierając rękę). Nie wiem doprawdy, komu mam wierzyć. Bądź co bądź, ja muszę wyjechać do Warszawy, żeby to wszystko uspokoiło się jakoś we mnie, bo wierzaj mi, że z tobą żyć teraz nie mogę. Ja cię bardzo żałuję, — wszystkobyłm zrobiła dla ciebie, co jest w mej mocy, aby tobie było dobrze, — może dlatego tak żałuję, że jesteś biedny, nieszczęśliwy, istotnie chory: ale proszę cię, jeszcze raz proszę, — daj mi uspokoić się.

KONRAD (tapiąc się za głowę). Co ja teraz pocznę? Puścić cię do Warszawy, — toż ja tutaj oszaleję bez ciebie po tem, co zaszło... Błagać, byś została... — jeżeli masz mię nienawidzić, to takie męki bodaj gorsze, niż samotność. (Łzy mu się leją z oczu.)

(Chwilowe milczenie.)

=====

ZOFIA. Najlepiej będzie, jeżeli ja wyjadę; ty się uspokoisz, a mnie koniecznie trzeba przyjść do równowagi. Ostatnie dwa tygodnie nie spałam godziny jednej, nie jadłam prawie nic, a w dnie do niczego wziąć się nie mogłam. Bielizna dziecinna, odzienie dla nich, — wszystko to zniszczone do szczętu, a ja palcem ruszyć nie mogę ze znerwowania.

KONRAD. Za to ja spałem i jadłem za nas oboje. Roboty i u mnie sporo niewykończonych. A to robota większej wagi, bo, jeżeli jej nie ukończę w porę, to stracę posadę, i nie będzie za co kupić nawet perkalu na ową dziecinną bieliznę.

ZOFIA. Ty mi, zmiłuj się, nie wytykaj ustawicznie tego swojego opiekowania się moją osobą! Nie chcesz,—nie dawaj mi nic; ja i bez ciebie przeżyć potrafię.

KONRAD. Chyba przy pomocy pana Aleksego...

ZOFIA. Daj mi raz spokój z tym twoim Aleksym.

KONRAD. Albo może praczka, lub pomywaczką będziesz, i wystarczy ci na wszystko, a dzieci twoje będą miały te same wygody, co i dzisiaj.

ZOFIA. Proszę cię, bez ironii. Jeżeli nie wierzysz, uwolnij mię od swej osoby, a przekonasz się.

=====

=====

KONRAD. Uwalniam cię, uwalniam; jedź sobie, do-
kład ci się podoba... Ale ja pieniędzy nie dam, bo
ich nie mam, nawet na spłacenie najgwałtowniej-
szych długów. Sama widzisz, że nawet koszuli
nie mam całej na karku, — przekonałeś się tem
niedawno, kładąc łaty na łaty.

ZOFIA. O pieniądze się nie troszcz, — dostanę je
od wuja. Żal mi tylko Ciebie — żal tak zosta-
wić samego.

KONRAD. Nie rozumiem ciebie doprawdy! Żyć
ze mną nie możesz, to znaczy, że mię nie cier-
pisz; a tu znowu jakaś litość, o którą ja wcale
ciebie nie proszę... Był czas rzeczywiście, kiedy
błagałem cię o litość nawet na klęczkach,—ale to
już przeszło; przekonałem się, że litości od was
wyglądać — wszystko jedno, co od głazu leż się
spodziewać. Zmiłuj się, nie żałuj mnie i rób, jak
ci się podoba. Zostaw mnie samego z moją anor-
malnością, z moim egoizmem, z moją podłością...

ZOFIA. Po co tak unosić się! Nikt wcale nie na-
zywa ciebie podłym. A wyjechać nie tak łatwo,
jak ci się zdaje.

KONRAD. Nic łatwiejszego,—upakować rzeczy, na-
jąć furmana i jazda. Nie rozumiem, dlaczego
nie zrobiłaś tego przed moim powrotem ze
Sławska. Jeżeli wiedziałaś, że nie będziesz mo-
gła być więcej moją żoną, to stokroć rozu-

=====

mniej byłoby wyjechać natychmiast dla uniknięcia tych wszystkich przyjemności, jakie teraz mamy.

ZOFIA. Kiedyż ja wcale nie mówię, że to rozstanie ma być na zawsze. Może przyjdę do siebie, uspokoję się trochę, — ale teraz nie mogę dopuścić myśli o pożyciu z tobą. Zresztą sam mi pisałeś, że, jeżeli będzie potrzeba, ty się powstrzymasz od obowiązku.

KONRAD. Ach, to było powiedziane zupełnie z innych powodów. Wielka różnica być bratem, kiedy żona jest chora, — ale, jeżeli ta żona nienawidzi cię i chce zostać siostrą...

ZOFIA. Bynajmniej nie nienawidzę, ciebie — jeszcze raz powtarzam.

KONRAD. No, jesteś rozgniewana na mnie, czy tam czujesz żal do mnie, — kto was zrozumie!

ZOFIA. Zdaje się, że nic tu niema niezrozumiałego. Można kochać kogoś, ale, jeżeli ten ktoś brudzi siebie tak haniebnie...

KONRAD. Znowu to samo! Czort swoje, pop swoje. Nie chcesz.—nie wierz temu, co ci mówiłem; ale gdyby nawet tak było, jak naszcekał ci Aleksy i wówczas nie zrozumie, żeby to mogło służyć za powód ucieczki twej ode mnie. Ja rozumiem boleść żony, kiedy mąż przynosi inną

=====

ZOFIA. Może miłość do Aleksego?...

KONRAD. Ty sobie drwij ze mnie, ile się podoba,— ale ty go musisz kochać, bo w przeciwnym razie po tem wszystkim, co on mnie wyświadczył, nie chciałabyś jego widzieć, a tem więcej ciągać na spaceru... To nie darmo!

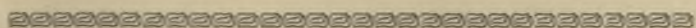
ZOFIA. Ciekawam, co on winien, że ty mu opowiadasz wszystkie swe brudy. A na spaceru ja go nie ciągam, — on sam przychodzi i zaprasza mię. Nie mogę go przecież odpędzać...

KONRAD. To są tylko wykrety, bo, gdyby on był ci obojętny, wcale nie takbyś z nim postępowała. Mówić o litości do mężczyzny, który szaleje z miłości ku tobie, jeżeli się mu nie odwzajemniasz, byłoby śmiesznem. Wy wcale nie jesteście tak litościwe. Przypomnij sobie, ile to litości miałaś ongi dla mnie, kiedy garnałem się do ciebie, mając pewne prawa do twej miłości. Przed miesiącem zaklinałaś się, że mię wiecznie kochać będziesz...

ZOFIA. Wiem już, wiem dobrze, co mi chcesz powiedzieć; słyszałam to tysiąc razy; umiem na pamięć. Zechej zrozumiem nareszcie, że mi byłeś wówczas wstrętny.

KONRAD. Nic dziwnego, bo byłem chory, opuszczony, bez przytułku jakiegoś. Dlaczego jednak, kiedy

=====



ci trzeba było wyjść za mąż, aby przysłonić stare swe grzechy, przestałem ci być wstrętnym, i tyś mię pierwsza szukała?...

ZOFIA. Daj mi spokój! Nie zrozumiemy siebie wzajemnie. Pójdę lepiej spać; tak jestem zmęczona, że ledwie na nogach się trzymam. Dobranoc. (Całuje KONRADA w czoło.)

KONRAD. Cudownie! Ty jesteś zmęczona i pójdziesz spać, a ja, choć jestem niemniej zmęczony, będę musiał do rana chodzić tak po pokoju.

ZOFIA. A więc to i ja mam chodzić z tobą tak dla towarzystwa?...

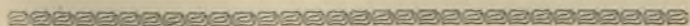
KONRAD. Wiesz bardzo dobrze, moja Zosiu, że zdolna jesteś uspokoić mię; no, ale ja litości nie żądam...

ZOFIA. Wierzaj mi, Konradzie, że nie mogę dłużej być z tobą, bo oczy mi się kleją ze zmęczenia.

KONRAD. Wierzę, wierzę, że nie możesz być ze mną dłużej, bo jestem ci wstrętny...

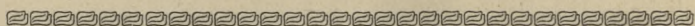
ZOFIA. Ja ciebie nie przekonam. (Odechodzi do sypialni.)

KONRAD. Trudno, abyś mogła przekonać mię o tem, w co sama nie wierzysz. Gdyby ci o sen tylko chodziło, moja Zosiu, nigdybyś nie zostawiła





mię tak samego, wiedząc, że pieśzcotami swemi możesz mię uspokoić (Chodzi gorączkowo po pokoju, chwytając się czasem za głowę i targając włosy.) Tak, moja Zosiu, dobre wy jesteście, zanadto dobre, nie darmo się swoją dobrocią tak szczycicie. Teraz może i masz pewną rację. Ale ileż to razy dla błahego powodu zostawiałaś mię tak za drzwiami, głucha i ślepa na moje męczarnie całonocne, na moje skargi i jęki. Ale i teraz, jeżeli wina moja jest wielką, to przecież wiesz, że i wielką, zanadto nawet wielką karę otrzymałem. Drugi miesiąc już się męcę, jak potępieniec, nie znając snu ani spokoju. Chyba tego dosyć, szczególnie dla tak dobrej, litościwej osoby, jak ty. Zresztą już tyle czasu żyjemy z sobą; zdaje się, trochę więcej czułaś do mnie przywiązania, niż do obcego człowieka,—przynajmniej zauważyłem to przed wyjazdem do Sławska; sama mi pisałaś przecież, że mię kochasz, że beze mnie ciężko ci i tęskno. Widocznie wszystko to było kłamstwem, bo inaczej... jeżeli ci szkoda Aleksego i z litości dla niego uczęszczasz z nim na spacer, słuchając oszczerstw przeciwko mnie, dlaczegoż miałabyś i mnie nie pożałować? Czyż gorszy jestem od niego? — chyba dlatego tylko, że on nie jest twoim mężem... A jeżeli on oszukuje swoją kochankę, którą uwiódł najhambniej, unieszczęśliwiając całą rodzinę, — widocznie to go czyni w twoich oczach, godniejszym litości, nie mówiąc już o innych jego trudach (naturalnie z waszego punktu widzenia), jak



unieszczęśliwianie dziewcząt i t. p. Nie, moja matko, — w tem coś się święci. (Zaczyna szybko chodzić po pokoju, mówiąc do siebie.) To nie może być zwyczajna uraza do mnie, ani też zwyczajna litość dla Aleksego, — tu jest coś poważniejszego, ona go kochać musi. Niema co! cudownych się doczekałem rzeczy! niedarmo serce mię tak bolało przed wyjazdem do Sławska. Cóż ja teraz pocznę! Jeżeli ona wyjedzie, oszaleję chyba; jeżeli zostanie... nie, to będzie jeszcze gorzej, — bo co mi po jej obecności, kiedy ta obecność, prócz męczarni, nic mi dać nie może. Jeżeli ona kocha owego gacha, a mnie nie znosi, to przecież niepodobna nam żyć razem dłużej. O tak! dawno musiałem tego się spodziewać — głupi byłem, łatwowierny byłem... Tak, rzeczywiście, nie jestem stosownym człowiekiem na męża dla Zosi i wogóle nie jestem stworzony na ojca rodziny. Ona wyszła za mnie dlatego, że musiała wyjść koniecznie, — a o mojej anormalności, o moim wstręcie do dzieci, nareszcie o tem, że jestem słaby, chory, nieudolny, że nie mam nic pociągającego w sobie dla niej, ona myślała „Jakoś to będzie, — gdy zostanie ojcem dzieci, z pewnością je kochać będzie; to wszystko, o czem mi rozprawia, jest chyba naleciałością chwilową, wskutek rozumowań niedojrzałych; a co się tyczy miłości, matrony nasze w praktyce życiowej dowodzą, że miłość przychodzi sama, jako wynik wspólnego pożycia z mężem.“ Otóż teraz wie, przekonała się, że nie kłamie, i że

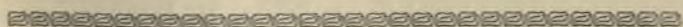
~~~~~

mówię zawsze tylko to, co leży w głębi mej duszy. Tak, rzeczywiście wcześniej czy później musiało się stać, co się stało, bo ja wcale nie odpowiadam jej pod względem płciowym, — ona silna, dobrze zbudowana, zdrowa, a ja cheralak, neurastenik, nie posiadający zgoła nic z tego, czem się zdobywa kobietę. Bo to, o czem one rozprawiają: owa wyższość umysłowa, wartość moralna, jest nonsensem, zdolnym wylęgnać się w umysłach ludzi zakochanych. „Kiedy namiętność wchodzi drzwiami, rozum ucieka oknem“ — słusznie powiada pewien aforyzm; kobieta zakochana zawsze sobie stworzy ideał z przedmiotu swej miłości, choćby ten ostatni był największym głupcem i nikczemnikiem. Rzadko człowiek zdaje sobie sprawę z tego, co wzbudza w nim miłość. Nie mówię, że tu działa sam tylko darwinowski dobór płciowy, — nie! — w cywilizowanym społeczeństwie działają i inne czynniki, które właściwiej byłoby nazwać doborem umysłowym i moralnym. Niestety, jednak przewagę ma tu błaha strona umysłu, mianowicie, — nie ten zdobędzie kobietę, kto ma więcej wiedzy, lecz ten, kto ją potrafi wykazać w formie imponującej kobiecie, w formie łechcącej ucho, jeżeli przytem ta wiedza odpowiada przekonaniom kobiety. Silny wpływ ma także pewność siebie, dowcip, umiejętność prowadzenia walki z przeciwnikiem, — wszystko zresztą to samo, co i u zwierząt, tylko naturalnie w ludzkiej formie. Pod doborem płciowym zwykle ro-

~~~~~



zumieją dobór w ścisłym znaczeniu tego słowa, — charakter zaś, łagodność, tembr głosu, energię, siłę woli zaliczają do cech wyższych, właściwych tylko ludziom. Co do Zosi, nie jestem pewien, jakie ma na to poglądy, — ale że ona tworzy sobie ideały tam, gdzie ich niema wcale, świadczy to, że przekonania jej w tej kwestyi nie różnią się od przekonań innych gąsek. Taki Aleksy, obłudnik, głoszący naukę ewangeliczną, sam będąc poganinem, uwodziciel, hultaj, panicz z niedorosłymi, hołdujący tradycjom możnych,—a ona dowodzi, że jest miły, sympatyczny, że jest bez zaprzeczenia dobrym człowiekiem, bo inaczej nie mogłaby go kochać tak idealna kobieta, jak owa nieszczęśliwa Laryssa. Oto logika kobieca. Dlatego, że jakaś tam kobieta (choćby to nawet była bardzo idealna i rozwinięta osoba) powie pod wpływem popędu płciowego swemu gachowi, że on jest najlogiczniejszym człowiekiem, jakich zna, albo roznamiętniona nazwie go swoją wyrocznią, to już ma być dowodem, że ów gach posiada wysoką wartość moralną albo głęboki rozum. To tak samo, jak gdyby kto sądził o wartości jakiegoś człowieka z opowiadania matki jego. Nawet to brudne podejście, podkopywanie się pod moje szczęście domowe, ona tłumaczy dobrą chęcią: niby to on, będąc przekonany, że Zosia dla mnie nic nie stanowi, że ja ją porzucę kiedyś na łaskę losu, chce skłonić ją do ratowania się zawczasu drogą małżeńskiego związku z nim, człowiekiem dobrym, normalnym. Nawet chęć



porzucenia jej poprzedniczki uznaje ona w nim za całkiem naturalną: zbrzydła mu, więc żyć z nią nie może. W taki sposób i ja mógłbym porzucić Zosię z dziećmi i powiedzieć, że ona mi zbrzydła; z mego punktu widzenia byłoby to zupełnie słuszne, ale oni, oni coby wówczas powiedzieli! ileżby to podłości i egoizmu mnie przypisali! A przecież ja miałbym więcej prawa do opuszczenia Zosi, aniżeli on do porzucenia swej Laryssy; bo ja nie rozbiłem jej losu, — raczej byłem chwilowo deską ratunkową w życiowej topieli; a on po złamaniu życia swej kochanki, po zniszczeniu ogniska domowego co da jej wzamian? Ona wyraźnie powiedziała mu, że z mężem żyć więcej nie będzie, choćby on ją opuścił... — Nie! widzę, że tu zupełnie źle, — że trzeba będzie rozstać się na zawsze z myślą posiadania takiej kobiety, jak moja Zosia. Serce mi się ściska na samą myśl o tem, ale, niestety, inaczej być nie może. W walce o samkę musi zwyciężyć siła, dobór płciowy. Nic tu nie pomoże nawet praktyczność. Praktyczność kobiety może zmusić ją tylko do pozostania wierną mężowi, ale serce, miłość, myśli jej, całe jestestwo będzie należało do tego samca, który ją przyciągnął trafniejszym doborem. Ileż to męczarń, ileż katuszy bywa w związkach małżeńskich z powodu owego naturalnego pociągu do osób obcych! A jednak ileż znajdzie się małżeństw, które dobrały się z miłości najsilniejszej, i miłość ta trwała tylko w ciągu miodowych miesięcy. Stąd

wnioskuję, że cywilizacja, która wytworzyła w człowieku tyle potrzeb, nieznanych barbarzyńcom, utrudnia ludziom korzystanie z miłości naturalnej, nie tamowanej żadnymi przepisami moralności w rodzaju obowiązków żony, matki etc., i tem samem stwarza cały szereg strasznych cierpień moralnych, o których może ani się śniło naszym przodkom z kamiennego wieku. Cywilizacja ta powinna była stworzyć nowe formy małżeństwa. Jakie to mają być formy, trudno coś powiedzieć, — czytałem dużo w tej kwestyi, myślałem jeszcze więcej i nic odpowiedniego znaleźć nie mogłem. Wszystkie rady ekonomistów, idealistów, zwolenników emancypacji kobiecej, Maltuzyan na nic się nie zdały. Prawdopodobnie ludziom cywilizacja przyniosła tyleż korzyści, ile Prometeuszowi kradzież ognia z nieba. Zaiste straszne muszą być cierpienia kobiety moralnej, którą nędza lub jakieś moralne powody zmusiły do związku z takim człowiekiem, jak ja. Co ja dać mogę swojej żonie? Może pięknnością ciała, może energią, siłą woli, charakterem ją zdobędę? może ją zdolnością samca płciową zwyciężę? może dobrocią, łagodnością, miłością do dzieci, poświęceniem i tym podobnemi cnotami (niezupełnie zresztą koniecznemi dla zdobycia kobiety) ją rozczulę? Niestety, nic podobnego nie posiadam. Jestem człowiekiem chorym, wątłej budowy ciała, o słabej woli, zdenerwowanym w najwyższym stopniu, osłabionym pod względem fizycznym; twarz mam wyblakłą

wynędziała, ponurą; żyć nie umiem, pracować nie chcę i nie mogę, nędzy nie znoszę, dzieci nie cierpię, poświęcać się nie umiem; każda drobnostka mnie drażni, lada głupstwo męczy; przekonania mam wręcz przeciwne przekonaniom ogółu; rozgoryczony, sceptyczny, niewierzący nikomu i w nic zgola... Miałaby taki człowiek podobać się jakiegokolwiek normalnej kobiecie? Cha, cha, cha! alboż nie jest to śmieszne? Widocznie zbyt marne są moje szanse u Zosi, kiedy taki człowiek, jak Aleksy, potrafił zachwiać jej przywiązanie do mnie. Bo że to nie jest sama tylko uraza do mnie albo żal, jak ona to nazywa, jestem tego pewny, — to nie zmuszałoby jej do zgrywania przede mną komedii choroby i do porzucania mię w Lubawach na pastwę tęsknoty i cierpień moralnych. Gdybym nie był dla niej obojętny, nigdyby nie pozwoliła owemu gachowi wymyślać mi obelżywemi słowy. To tak bolesne! serce się ścisza z żalu!.. Ona się wypiera, nie przyznaje do owego uczucia ku Aleksemu, ale przecież przyznać się jej nie podobna; bądź co bądź, chodzi jej o wprowadzenie mię w błąd, — po pierwsze dlatego, że ma litość nade mną, — powtóre chyba dlatego, żebym nie przestał utrzymywać jej z dziećmi. Nie arcy-szlachetne to uczucie, ale ludzkie, zanadto nawet ludzkie, — i sądzę, że i moja Zosia powoduje się owym materyalizmem, jeżeli nie przez wzgląd na siebie, to przez wzgląd na dzieci — raz już miałem dowód, do czego jest zdolną dla ich dobra;

owca niecna komedja miłości ku mnie, której nie
czuła wcale, odegrana dla zdobycia przybranego
ojca dla dziecka po pierwszym kochanku, najlep-
szym była tego dowodem! O straszne to, okropne!
na samo wspomnienie żyły moje kurczą się z bo-
leści... Ale to już przeszło, to było, — tego nikt
i nic nie naprawi. Związałem się z kobietą,
która mnie nie kocha, może nawet nie cierpi;
dowody tego miałem w czasie tak zwanych miodo-
wych miesięcy. Jak Ezaw niegdyś za łyżkę stra-
wy, tak ja za ochłapy miłości, fałszywej w do-
datku, za serwatkę, według wyrażenia specyalis-
tów - rozpustników, sprzedałem swoją wolność,
dobrobyt, środki do zdobycia miłości, której nie
znalazłem u żony. Ha, jakie to miłe przeświad-
czenie, że moja ukochana Zosia niejednokrotnie
oddawała się mnie z musu, spełniając obowiązki
żony dla zabezpieczenia bytu dzieciom albo
przez wzgląd na to, że, związując mnie z sobą,
pozbawiła się tego, co już nigdy, nigdy przywróco-
ne być nie może. Podobno tak postępuje więk-
szość kobiet, — ale to mię mało pocieszyć może.
Aleksy dowodzi, że ci tylko się żenią, którzy nie-
zdolni są zdobyć miłości kobiety bez małżeń-
stwa. Sądzę, że rzeczywiście 50⁰/₀ mężczyzn
żeni się z powyższych powodów. I ja, nieszczę-
śliwy wstąpiłem w szeregi owych skazańców,
a oto teraz mam za swoje! Matka mię niegdyś ze
łzami błagała, bym unikał Zosi, jak morowego
powietrza, bo ona stanie się zgubą dla mnie; —
niestety, przecucia te sprawdziły się. Co otrzy-

małem przez ten związek? — Od pierwszej chwili poznania Zosi miałem same tylko gorycze, jeżeli i były chwile rozkoszy, to jak krople deszczu tonęły one w morzu boleści. A teraz otrzymałem najlepszą nagrodę za to, że nie porzuciłem jej na łaskę losu, jak to czynią inni, mający ku temu mniej odemnie prawa. Ona chce mnie opuścić, zrobić mię ofiarą moich nerwów, zostawić na pastwę tęsknoty, na pastwę mąk piekielnych dlatego tylko, że uwierzyła oszczerstwu owego pseudo-idealisty, Aleksego. Tak, rzeczywiście, ja wcale nie byłem stworzony dla niej na męża, — żadnych wspólnych interesów duchowych, nie mówiąc już nic o doborze płciowym, nie było i niema między nami. Ale też nigdy przed nią nie robiłem sekretu ze swych ułomności, — owszem, starałem się wystawić siebie przed nią w jak najczarniejszych kolorach... Ona dowodzi: „Ja myślałam, że to wszystko jest naleciałością chwilową“... I to tylko jedno może trochę usprawiedliwia z moralnego punktu widzenia jej postępkę względem mnie. Biedna ona, bardzo biedna! męki jej zdolne byłyby usprawiedliwić nawet zbrodnię większej wagi. Ale od tego moja sytuacja bynajmniej się nie polepsza; choćby udarczenia jej równały się sumie udarzeń całego świata, to mi nie przywróci mojej niezależności duchowej, ani nadziei odszukania gdzieś kobiety, któraby zechciała dzielić ze mną smutek i radość. Tak, oboje jesteśmy biedni, oboje cierpimy bardzo, a jednak... (Podchodzi do drzwi sypialni, słu-

chając przez chwilę.) Szczęśliwa! śpi sobie w najlepsze... O, cobym dał za to, gdybym mógł zasnąć choć na godzinę! Jakże szczęśliwi są ci wybrańcy losu, którzy, pomimo największych udręczeń moralnych, nie tracą snu, ani spokoju. Do czego ja dojdę, jeżeli tak potrwa dalej?! Tak, więc muszę się rozstać z Zosią... No, cóż! może to i lepiej! Ale, jeżeli ona wyjedzie na zawsze, jeżeli mam ją utracić na wieki... br... to byłoby okropne! Myśleć nie mogę o podobnej sytuacji. Jakże ja będę żył, tak oszelmowany? Gdzie znajdę kobietę, która zechce mię kochać, opuszczonego przez żonę? Drwić będzie niejedna ze mnie... Naturalnie, nikt mnie nie pożałuje, a myśleć będą, że, dzięki złości swej, przez nikiemność i inne wady zraziłem żonę do siebie... A jeżeli ona dlatego chce mię porzucić, aby się związać z Aleksym?... Nie, nie! to być nie może! Czyż nie rozumie ona, że to byłoby dla niej trafić z deszczu pod rynnę? To taki wietrzny człowiek, taki rozpustny! onby się pobawił z nią przez parę miesięcy, najdłużej przez rok, a potem postarałby się przekazać innemu jakiemu rozpustnikowi... Ba, ale ulubiony mój aforyzm mówi: „Kiedy namiętność wchodzi drzwiami, to rozum ucieka oknem“. Któż tam może wiedzieć, jakie лихо zasiadło u mojej baby?! miałem już raz dowód, do czego może ją skłonić namiętność... O, ironio losu! tyś mi dała iluzję miłości tylko po to, aby poigrać chwilowo ze mną, a potem pogrążyć mię na dno piekielne,

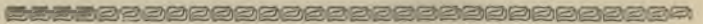
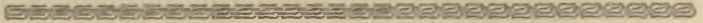
~~~~~

kędy jest płacz i zgrzytanie zębów! Tak kot dręczy pojmaną ofiarę, — schwyci ją pazurami, następnie wypuści niby na chwilę, a potem rzuca się znowu i coraz głębiej, coraz dotkliwiej zapuszcza pazury i zęby w ciało zwierzęcia. Samotny byłem, opuszczony przez wszystkich—za winę, czy bezwinnie, tego nie wiem, — któż zbada, gdzie jest zbrodnia, a gdzie cnota? Lata całe dręczyłem się, łaknąłem przyjaźni, miłości, pragnąłem obcowania z ludźmi, i świat uciekał ode mnie, bo byłem dla niego tem, czem byłby wół w końskim tabunie, albo wrona między kurami, — niezrozumiałym, złym, nawet idyotą... Po długich męczarniach zabłysło wreszcie słońce w pielgrzymce mego żywota, — tak przynajmniej zdawało mi się w owym czasie. Znalazła się kobieta, która powiedziała mi, że mię kocha i gotowa jest połączyć się ze mną na zawsze. I połączyła się, ale też na zawsze pozbawiła mię wolności, sama zaś dziś powiada: „rozstać się nam trzeba“. Dobrze to jej mówić, kiedy wie, że znajdzie na zawołanie, dwudziestu kochanków którzy ofiarują jej swe serce i kieszeń... Ale ja, ja co pocznę, spętany więzami małżeństwa?... Ba, sam jestem winien w pewnej mierze, że tak się stało... tak, jestem winien, bardzo winien, jeżeli może być winą brak siły woli, słabość fizyczna i duchowa, rozbite nerwy... A język? język?—to narzędzie do wyrażania przekonań? — gdybym wiedział, że jego niepowściągliwość sprawi tyle męczarni mojej Zosi, o, nigdybym ust nie otworzył! Tak,

~~~~~

ale czy przekonasz babę, gdy coś sobie wbije w głowę? Lata całe mógłbym przekonywać i byłoby napróżno; żadne dowody nie pomogą, jeżeli kobieta cię nie kocha, — miłość tylko jedna nadaje siłę argumentom, choćby były słabe... Głowa mi pęka... powietrza brak! Isć? dokąd? Nocami chodzą złodzieje i pijani... Ha, pójdę i ja błąkać się po mieście, bo według przekonań mych bliźnich, jestem niemniej niegodziwy człowiek... (Ubiera się i wychodzi.)

ZOFIA (wychodzi z sypialni, mówiąc do siebie:) Wyszedł... Chwileczkę odpocznę. O jakże wstrętny mi ten człowiek ze swymi lamentami, ze swymi ruchami potępieńca!... Trzeba stąd uciekać, uciekać czempędzej...



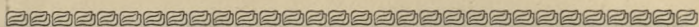
V

Mieszkanie ALEKSEGO, chaos i nieład kawalerski. ALEKSY, doktor RUSZCZYC, LIPSKI i DASZKIEWICZ prowadzą rozmowę.

LIPSKI (do ALEKSEGO.) No, chwyt z pana nie lada — zbałamucić taką kobietę!... Bodaj was dyabli!...

ALEKSY. E, co tam! — takich Walickich miałem w objęciach swoich dziesiątki... Chociaż nie przeczę, — niezła kobieta, biust, piersi, a ciało, ciało bielutkie! przezroczyście, jak jabłuszko! A co za namiętność! — mówię wam, pierwszą spotykam taką w życiu. Kiedy uściśnie, obejmie cię ramionami i przytuli się, a do tego pocznie jeszcze całować, ale to tak całować, — e, panowie nie macie wyobrażenia, jak ta kobiątka całuje. Mówię wam — nie całuje, ale wprost pożera. Patrzcie, jak mi pogryzła usta. (Pokazuje na usta.) a drży, jak młoda łania; rękę, że nawet nasz święty turecki (wskazuje DASZKIEWICZA) począłby drzeć, jak... (Ogólny śmiech.)

LIPSKI. Daj pan pokój! nie mów więcej, bo mi krew uderzy do głowy. (Ogólny śmiech.)



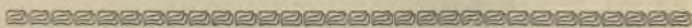
RUSZCZYC. Wszystko to bardzo przyjemne, ale bądź pan ostrożny, bo z takich rzeczy nie żartuje się... Kiedykolwiek sprawią panu lanie...

ALEKSY. Lanie? kto? może Walicki? — ten flak? ta baba?! Znam go dobrze i wiem, że będzie rad bardzo, gdy mu uwiozę żonę, bo on i tak ją rzuci kiedyś. Alboż taki niedołęga jest w stanie zadowolić taką kobietę? — zupełnie stracił siły. A do tego on jej utrzymać nie może, bo pensyę ma lichą, chce zaś żyć na szeroką skalę, tłómacząc to swoimi nerwami, — niby to mieszkanie duże potrzebne mu dla powietrza i spokojnego od hałasów dziecinnych kąta i innymi niedorzecznościami...

RUSZCZYC. Nie, to bynajmniej nie jest niedorzecznością; przeciwnie, przy jego zdrowiu potrzebne jest dobre powietrze i spokój.

LIPSKI. No, to wcale nieciekawe... (Do ALEKSEGO:) A jakże się tam ma Małgosia? — Tęga dziewczyna? Teraz panu już ona nie potrzebna, — może pan mi ją odstąpić?

ALEKSY. Owszem, z największą przyjemnością, bierz pan ją sobie. Mogę was nawet zaprotegować... Po bigosie nie zechcesz flaków; w porównaniu z Walicką nie ma ona żadnej dla mnie wartości, — za jedną pierś tamtej oddałbym dziesięć takich Małgosiek...



=====

DASZKIEWICZ. Jesteś pan podły! Mówić tak o kobiecie, która pana kocha...

ALEKSY. Uspokój się acan! — znamy się na tem kochaniu...

RUSZCZYC. A kto to może wiedzieć? — może ona rzeczywiście pana kocha.

ALEKSY (z zadowoleniem). Może trochę i kocha; zaklina się ona bardzo i pieści mię tak, że sam gotów jestem uwierzyć w tę miłość...

(Drzwi się otwierają, — wchodzi KONRAD.)

ALEKSY (zrywa się z krzesła na powitanie). A, panie Konradzie! jak się pan miewasz?... No, cóż tam słyhać w Sławsku? — coś długo pan tam bawiłeś...

KONRAD. A pocóżbym się miał śpieszyć do domu? W Sławsku, sędzę, nierównie przyjemniej, niż w waszych znakomitych Lubawach.

RUSZCZYC. Tak, ale obawa o zdrowie żony, dzieci...

KONRAD. Co do żony byłem najzupełniej spokojny, — mając tak zacnego kolegę, jak pan Aleksy, nie potrzebowałem o nią się troszczyć; a dzieci... dzieci... o tem dużo mówić...

=====

=====

(RUSZCZYC, LIPSKI i DASZKIEWICZ spoglądają na siebie i wybierają się razem do odejścia.)

ALEKSY. E, panowie, dokąd że to? Ja was nie puszcze. Tak rzadko przychodzicie i tylko na kwadransik.

RUSZCZYC. Czas nam do domu. Zajdziemy jutro albo pan przychodź do nas.

ALEKSY. A bodajby was... Chciałem was poczęstować serdelkami, — z Moskwy mi przysłała pani Leonowa...

LIPSKI. Przydadzą się Wam serdelki dla Waszych ukochanych... Nie mamy czasu ich spożywać (wychodzą.)

ALEKSY (do KONRADA). No, panie Konradzie łaskawy, opowiadaj, jakieś czas spędzał. Widziałeś Rowińską?

KONRAD. Nie, wyniosła się do Odesy czy tam gdzieindziej, — nie mogłem nawet dowiedzieć się napewno.

ALEKSY. Ach, jakaż szkoda... No to straciłeś pan bardzo wiele na tem, — to taka pulchna kobiecina...

KONRAD. Bynajmniej nie szkoda! — bardzo rad byłem z tego, bo jeszcze лихо mogło mię skusić i zdradziłbym żonę...

=====

=====

ALEKSY. Masz pan rację! nie warto! Przecież pani Zofia was kocha...

KONRAD (hamując się). A skąd to panu wiadomo? może wcale mnie nie kocha...

ALEKSY. Gdyby pani Zofia was nie kochała, to by dawno uciekła, bo pan wcale nie jesteś zdalny na męża i ojca rodziny.

KONRAD. To wiem dobrze bez waszego przypomnienia, — ale co to pana może obchodzić? — ciekawym.

ALEKSY. No, nie unoś się pan, bo to szkodzi zdrowiu. Lepiej powiedz, czy nie zrobiłeś jakiej nowej znajomości.

KONRAD. Owszem, powiedz pan mojej żonie, że całutki czas w Sławsku spędzałem w domach rozpusty.

ALEKSY (udając spokój). Ja pana nie pytam o domy rozpusty, lecz...

KONRAD. Lecz mówisz o prywatnych kobietach publicznych — i tych miałem setki na swoje zawołanie. Możesz pan i to odraportować pani Zofii.

ALEKSY. Nie rozumiem pana, do czego się to stosuje...

=====

KONRAD. Panie Aleksy, po co ta komedia? —
wiem wszystko; żona mi powiedziała, jakieś ładnie się spisywał w czasie mojej nieobecności...
Wiesz pan, jakkolwiek nie wierzyłem ludziom oddawna, ale takiej podłości nie spodziewałem się po panu.

ALEKSY. Przedewszystkiem niewiadomo, kto z nas dwóch jest podły; powtóre, gdyby ktoś podłość rzeczywistą popełnił, to pan najmniej miałbyś prawo wyrzucać mu, bo dla pana nie egzystują ani szlachetność, ani podłość.

KONRAD. Przeciwnie, mam prawo żądać szlachetności od tych, co ją głoszą, co się nią chępią, i takiej, jak oni ją rozumieją.

ALEKSY. Ach! kiedy tak, to wiedz pan, że ja uważałem za szlachetne ostrzedz panią Zofię i uprzedzić ją o tej doli, którą pan jej zgotowałeś.

KONRAD. Chciałbym wiedzieć, o jakiej to doli pan mówisz i co ja jej zgotowałem.

ALEKSY. Co pan zgotowałeś? dziwna rzecz, że się o to pytasz. Zgotowałeś jej pan tortury, a przygotowujesz nędzę i głód. Dokąd się ona uda, kiedy pan, spółdziwszy jeszcze kilkoro dzieci, rzucisz ją na łaskę losu?

KONRAD. Ja? ja ją mam rzucić? co pan bredzisz?

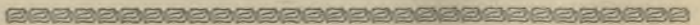
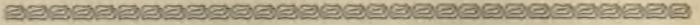
=====

Wiesz pan co? słowa pańskie warte są bicia, —
ale przy moich przekonaniach...

ALEKSY. Cudowne przekonania! Za te przekonania
jabym sam własnoręcznie was obwiesił albo
udusił, gdyby mię o to wasza żona prosiła.

KONRAD. Jesteś pan bezczelny! Ileż to razy mó-
wiłeś mi, że przekonania moje szanujesz, a przy-
najmniej tolerować potrafisz? A dzisiaj, kiedy się
panu nieproszonemu spodobało opiekować moją
rodziną, za też same przekonania chciałbyś pan
mię obwiesić?!

ALEKSY. Jakgdybyś to pan przekonań swych w czyn
nie wprowadzał! Zresztą ja z wami mówić na
ten temat nie mam ani czasu, ani ochoty... mu-
szę iść do miasta. Wybacz mi pan. (Zabierają
się do wyjścia w milczeniu.)



VI

KONRAD (chcąc objąć ZOFIĘ.) Zosiu, moja Zosiu! czas wielki zapomnieć bezczelne brednie, któremi przysłużył się mi kochany koleżka.

ZOFIA (odpychając KONRADĄ). Proszę cię, bez tych czułości. Nie umiałeś cenić moich pieszczot, kiedy ci sama ich nie szczędziłam, — nie narzucaj się teraz, kiedy one mi są wstrętne.

KONRAD. Wiesz co, Zosiu? ja tych męczarni dłużej znosić nie mogę. Albo ty wyjeżdżaj ode mnie, albo ja sam się wyniosę z domu. Piąty miesiąc mnie dręczysz... Patrz, oto masz przed sobą żywego trupa...

ZOFIA. Ty zawsze nim byłeś.

KONRAD. Nie prawda! Choć nie cieszyłem się nigdy zdrowiem, ale nigdy też nie czułem się tak źle, jak obecnie. Zdaje mi, się że jeszcze tydzień takich męczarni a oszaleję ostatecznie.

=====

ZOFIA. Słyszałam to nieraz.

KONRAD (łapiąc się za głowę). O Boże, Boże! co ja pocznę? (Załamuje ręce.)

ZOFIA. Podoba mi się to! — ateusz, Boga woła na pomoc.

(KONRAD ubiera się gorączkowo.)

ZOFIA. Dokąd to?

(KONRAD nie odpowiada nic, — wychodzi.)

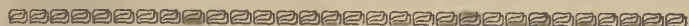
ZOFIA. Czekał, Konradzie; ja mam z tobą do pomówienia... (Po chwili:) Co mu jest? — w samej rzeczy zwaryował, czy co. To byłoby najlepsze dla nas obojga, — przynajmniej uwolniłby mię od swojej osoby, a sam przestałby dręczyć siebie i innych... Podobno waryaci nie cierpią... Nie! lepiej, gdyby on umarł, — z waryatem miałabym dużo kłopotu i musiałabym doglądać go, co mi wcale przyjemnem być nie może... (Rozlega się dzwonek.) Pewno Aleksy! (Biegnie uradowana otworzyć drzwi.)

ALEKSY (całuje namiętnie ręce ZOFII). No, cóż, Zosiu? decyzya gotowa? kiedy wyjeżdżasz?

ZOFIA. Albo ja wiem, — jestem bezsilna, — nie wiem, co robić z sobą.

ALEKSY. No, kiedy tak, to ja sam się wezmę do

=====



roboty. Kiedyż mąż jedzie na wieś? Ułożymy rzeczy i jazda!...

ZOFIA. Nie, mój drogi! nie mogę w żaden sposób tak prędko zdecydować się, bo mi szkoda Konrada...

ALEKSY. Wybieraj kogoś jednego: albo mnie albo Konrada,— bo jeżeli dłużej będziesz mię dręczyła, w łeb sobie palnę.

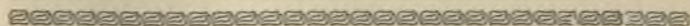
ZOFIA. Ach, nie mów mi takich okropności, błagam cię! daj mi choć parę tygodni czasu do namysłu.

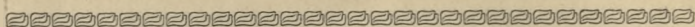
ALEKSY. Któryż to raz prosisz mię o prolongatę?! No, dobrze, trzy dni pozostawiam ci do rozwagi, a potem...

ZOFIA. Złoty mój, drogi! daj mi przyjść do siebie trochę, uporządkować swe myśli chwiejne; jestem, jak obłąkana, z powodu całej tej historii.

ALEKSY. W takim razie do widzenia... Ja też cierpię, może stokroć silniej. (Chce odejść.)

ZOFIA (rzucając mu się na szyję). Alesiu, jedyny mój! nie odchodź, bądź ze mną, bo... bo... (Namiętnie całuje ALEKSEGO. Rozlega się dzwonek; służa idzie otworzyć drzwi. ALEKSY pośpiesznie rzuca się do przedpokoju, ubiera się i wychodzi. — Słychać w korytarzu nie-





wyraźną rozmowę. Wchodzi KONRAD, cały pałowy; zęby i ręce latają mu, jak w febrze.)

ZOFIA. Co ci jest? wyglądasz jak szaleniec!...

KONRAD. O... o... tego już za wiele!.. Nie mogliście znaleźć sobie odpowiedniejszego miejsca?.. afiszujecie się przed całym miastem swojemi miłostkami... Bodajby was...

ZOFIA. Zwaryowałeś chyba! halucynujesz !...

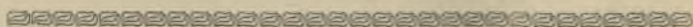
KONRAD. To nie halucynacya, lecz rzeczywistość... Widziałem wszystko... w szale swym zapomniałaś nawet okna zasłonić.

ZOFIA. Co widziałeś? ciekawam, co ty mogłeś widzieć. (Bierze go za rękę.) Konradzie, uspokój się! może dać ci wody?

KONRAD. Odejdź, proszę ciebie, i nie udawaj!

ZOFIA (obrażona). No, dobrze, odejdę, kiedy tobie tak podoba się; ale więcej mnie nie wołaj, bo to będzie napróżno... (Odchodzi.)

KONRAD (długi czas w milczeniu biega po pokoju, targa włosy, po długiej pauzie mówi:) Spełniło się!... ha!... o bodajby prędzej jakiś koniec! (Wybucha płaczem.)



=====

VII

Mieszkanie ALEKSEGO. ALEKSY siedzi przy biurku i pisze.
Wchodzi KONRAD.

ALEKSY (zdziwiony i trochę zaniepokojony). Aaa, panie Konradzie! cóż to pana sprowadza do mnie? Dość długo nie miałem przyjemności widzieć pana.

KONRAD. Mam do pana malutki interesik.

ALEKSY. Jestem do usług. Proszę usiąść. Pozwoli pan papierosika?

KONRAD. Dziękuję panu, — palić nie chcę... Nie potrzebuję tłumaczyć panu celu moich odwiedzin; sądzę, że pan rozumie, iż tu chodzi o moją żonę. Prosiłbym bardzo pana powiedzieć mi, jakie są jego projekty co do niej.

ALEKSY. Mój panie, ja ze swoich projektów przed nikim się nie zwierzam...

KONRAD. Tak, ale przez wzgląd na wyjątkowe okoliczności, — przez wzgląd na to, że los żony mojej i dzieci musi mnie interesować...

=====

=====

ALEKSY. Pozwoli pan o tem powątpiewać... Zresztą, jeżeli panu o to bardzo chodzi, mogę mu powiedzieć i upewnić, że się żonie pańskiej ani dzieciom nic złego nie stanie.

KONRAD. Tego mi za mało; chciałbym wiedzieć coś więcej, a mianowicie kto ją będzie utrzymywał z dziećmi.

ALEKSY. Kto ją będzie utrzymywał? — naturalnie nie pan. Odeślę ją na kursa akuszeryjne albo inne jakie, aby dać jej możność być wolną i niezależną i mieć prawo rozporządzać swoją miłością i osobą podług swego upodobania.

KONRAD. Niezupełnie rozumiem pana... Skąd pana stać na to, kiedy mu ledwie samemu starczy na życie. Zresztą, gdyby nawet ona kursy te ukończyła, i tak nie mogłaby sama się utrzymać z trojgiem dzieci.

ALEKSY. Powtarzam, że nie mam zamiaru spierać się z wami, bo to na próżno...

KONRAD. No, w takim razie bądź Pan zdrow! Życzę wam szczęścia. Błagam pana o jedno: nie opuszczaj pan Zosi, a gdyby okoliczności zmusiły pana do tego, proszę natychmiast mnie zawiadomić...

ALEKSY. Niech pan będzie spokojny, — nie jestem taki, za jakiego pan mnie uważasz... (Podaje rękę KONRADOWI.) Do widzenia.

(KONRAD odchodzi.)

VIII

Kantor bankowy. Słychać przesuwanie kostek rachunkowych. W pokoju na prawo siedzi przy biurku łysy urzędnik i rachuje; w pokoju na lewo MIKOŁAJ i KONRAD rozmawiają zeicha.

MIKOŁAJ. Nie rozumiem was zupełnie. Gdyby mnie wyrzucił ktoś takie „świństwo“, jak mi Bóg miły, roztrzaskałbym owemu nicponiowi łeb.

KONRAD. Za co? Za to, że ten się ubiega o też samą samkę, co i ja? To coś zakrawa na psie obyczaj.

MIKOŁAJ. Otóż to i masz acan takie kawaly z racyi swoich przekonań. Gdybyś tego Aleksego wygrzmocił dobrze na samym początku, ręczę, że nicby podobnego nie zaszło.

KONRAD. Kiedy to jest wstrętne dla mnie!... Powtarzam, że do Zosi także prawo miał Alek-

sy, jak i ja. Mógłbym bić go chyba tylko za to, że mnie tak haniebnie oszukał, że udając przyjaciela i dobrego kolegę, — wlaźł do mego domu po to, aby mię przed żoną oczernić, opowiadając na mnie to, czego zupełnie nie było... No, ale ze względu na swe poglądy...

MIKOŁAJ. Do kata z waszymi poglądami! Pamiętaj pan, że to tak się nie skończy, jak wacan myślisz; — głowę daję za to, że bez batalii to się nie obejdzie...

(Do pokoju na lewo wchodzi ALEKSY.)

KONRAD (pasowy i drżący do MIKOŁAJA). Idź pan stąd... Ja się schowam za drzwiami, aby z nim się nie spotykać, — boję się, żeby wasze słowa nie sprawdziły się.

(MIKOŁAJ wychodzi do pokoju na prawo i wita się z ALEKSYM. KONRAD chowa się za drzwiami.)

ALEKSY (witając się z MIKOŁAJEM). Dzień dobry panu. No, jakże pan wczoraj czas spędzał?

MIKOŁAJ. Jak zwykle — w lesie, z psami.

ALEKSY. I panu nie wstyd zabijać niewinne zwierzęta dla zabawy? Pomyśl pan tylko, — toż pan niejedną matkę pozbawiasz dzieci, albo dzieci matek... Zwierzęta także mają uczucia, także cierpią, jak i ludzie, więc zdawałoby się, trzeba ich żałować i nie dręczyć tak dla igraszki.

=====

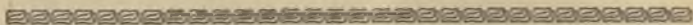
MIKOŁAJ. Masz pan rację. — taka zabawa jest okrucieństwem. Ale sędzę, że lepiejbyś pan zrobił, gdybyś krytykował własne postępowanie i zwrócił uwagę na okrucieństwo, którego się pan dopuszczasz.

ALEKSY. Nie rozumiem, o jakie to okrucieństwo pan mnie posądzasz.

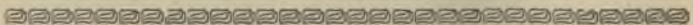
MIKOŁAJ. Nie potrzebuję tłumaczyć się,— pan mię rozumiesz doskonale.

ALEKSY. Gdybym rozumiał, tobym się nie pytał..

(KONRAD wychodzi ze swej kryjówki. Oczy mu palają, ręce drżą; chce przejść mimo ALEKSEGO, nie witając się. ALEKSY, udając spokój, wyciąga rękę ze słowami: „Dzień dobry panu, panie Konradzie...” — KONRAD, straciwszy przytomność, uderza z całej siły ALEKSEGO w twarz. ALEKSY po chwili oszołomienia rzuca się na KONRADA i szarpie mu twarz paznogciami. KONRAD uderza go drugi raz, potem trzeci. Powstaje wrzawa, zbiegają się urzędnicy, jedni łapią za rękę KONRADA, drudzy ALEKSEGO i wyprowadzają za drzwi. KONRAD wyrывa się, chwyta polano i krzyząc: „Zabiję szubrawca!”, biegnie za ALEKSYM.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



IX

Mieszkanie WALICKIEGO. Na podłodze leżą pakunki, kufry, kosze. ZOFIA ubiera się do drogi, AGATA układa resztę sprzętów. KONRAD blady, żółty, ze śladami ran na twarzy, pomaga układać. Wchodzi chłop i wynosi kufry.

KONRAD (do ZOFII). Zosiu, jeszcze raz ciebie proszę,—zostań ze mną... A jeżeli nie można inaczej, zgadzam się, — kochaj ty sobie Aleksego, bądź tylko dla mnie dobrą siostrą i pozwól mieszkać razem z wami.

ZOFIA. Po tem, co zaszło między wami?... ależ to szaleństwo!

KONRAD. Przysięgam ci, że więcej ze mną tego nie będzie. Był to jakiś szal, który się nie powtórzy. Błagam cię, Zosiu, miej litość nade mną. (Całuje ręce ZOFII.)

ZOFIA (całując KONRADA w głowę). Nie, Konradzie,

proszę cię, nie męcz mnie więcej; mego postanowienia nic już zmienić nie potrafi. Swojem szaleństwem tylko przyspieszyłeś dzień mojego odjazdu... Wstyd mi wyjść na ulicę — wszystkie baby palcami mnie wytykają.

KONRAD. No, jeżeli ci więcej chodzi o opinię kumoszek lubawskich, niż o moje zdrowie i życie, to cię o nic już więcej prosić nie będę. Jedź sobie,—niech cię losy mają w swojej opiece, i nie martw się o mnie bynajmniej.. Posadę straciłem z powodu tej bójki, — „zbezpieściłem instytucję rządową“, jak mi powiedział naczelnik... Ale to nic, — w więzieniu znajdę schronienie i chleb, dokąd trafię bez wątpienia za długi kasowe. Błagam cię, odwiedź mię kiedy, bo ja tam oszaleję...

ZOFIA. Przestań, Konradzie! nie mogę słuchać twoich słów. Lepiejby było, gdybyś umarł...

KONRAD. O, lepiej, tysiącokróć lepiej! — zabij mię, proszę, obwieś mię albo otruj...

ZOFIA (gotowa do odejścia). No, dosyć tych lamentów! bądź zdrow!...

(KONRAD rzuca się na szyję ZOFII i konwulsyjnie płacze.
ZOFIA pośpiesznie odchodzi.)

KONIEC.

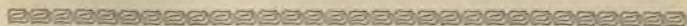


UWAGA. Autorowi nie chodziło bynajmniej o stosowanie się do przepisów scenicznych, ale tylko o fotografię faktów i typów. Z góry wiedział on, że jego pisanina nie może służyć dla sceny.

Nie przyjmuje także autor odpowiedzialności za brak logiki albo wiedzy u swoich bohaterów, bo nie chodzi mu o propagandę doktryn, przez nich wygłaszanych.

Jeżeli kto nie rozumie, dlaczego człowiek, nie posiadający zdolności pisarskich ani wiedzy, ima się pióra, temu radziłbym prosić psychologów, o wytłómaczenie tego zjawiska albo jeszcze lepiej, spytać wiejską babę, dlaczego ona rodzi.

Marcin Tułacz.



F

3432